

4449/86

22 May.

Froes school
at Horeini

PROCES SZKOLNY WE WRZEŚNI

SPRAWOZDANIE SZCZEGÓŁOWE
NA PODSTAWIE ŹRÓDEŁ URZĘDOWYCH

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

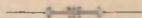
Stefana Dziewulskiego i Jana Kucharzewskiego



KRAKÓW
NAKLAD I DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1902

J. Kirschner

PROCES SZKOLNY WE WRZEŚNI



KSIEGARNIA - ANTYKWARIAT
JÓZEF OWSIANKA
KRAKÓW
ul. Starowiślna 77,



F. J.

PROCES SZKOLNY

WE WRZEŚNI

PRZEDMOWA.

SPRAWOZDANIE SZCZEGÓŁOWE

NA PODSTAWIE ŹRÓDEŁ URZĘDOWYCH

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

Stefana Dziewulskiego i Jana Kucharzewskiego



KRAKÓW

NAKŁAD I Druk W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

1902

P22c1
N 964

458939 I

K-86/4449
3.7. 4000/-



KRAKOW

jak i niemiecka, miała liczyć przedstawicieli.
Prócz tego obradom asystowali posłowie do sejmiku
pruskiego: Gęsiński, Głębocki, oraz ka. prael sty-
chel. W ciągu czterech dni obrad audytoryum było
prawie ciągle przepełnione publicznością.

PRZEDMOWA.

W dniu 14, 15, 16 i 19 listopada 1901 roku toczył się w Gnieźnie przed II wydziałem karnym sądu ziemiańskiego proces, ogólnie znany pod nazwą »Wrzesińskiego procesu szkolnego«. Obradom przewodniczył prezes sądu ziemiańskiego Kah przy udziale sędziów: Wuthkego, Dr. Manteya i Naudé'go, oraz asesora Regenbrechta. Oskarżenie popierał prokurator Langer z Gniezna, w charakterze obrońców występowali adwokaci: Adam Woliński i poseł Dr. Dziembowski z Poznania, oraz adwokat Türk z Gniezna.

Jako współoskarżyciel wystąpił okręgowy inspektor szkolny Winter z Wrześni, reprezentowany przez adwokata radcę Wagnera z Berlina, wiceprezesa »Związku obrony niemczyzny na kresach« (Ostmarkenverein). Rząd reprezentował landrat z Wrześni, baron von Massenbach, arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego — kanonik ks. Kreczmar z Gniezna. Prasa, zarówno polska,

jak i niemiecka, miała licznych przedstawicieli. Prócz tego obradom asystowali posłowie do sejmiku pruskiego: Cegielski, Głębocki, oraz ks. prałat Stychel. W ciągu czterech dni obrad audytoryum było prawie ciągle przepełnione publicznością.

PRZEDMOWA

W dniu 14, 15, 16 i 19 listopada 1901 roku toczył się w Gnieźnie przed II wydziałem sądu ziemianńskiego proces, ogólnie znany pod nazwą: Wziesińskiego przeciwko sądu ziemianńskiego. Opi-
dom przewodniczył proces sądu ziemianńskiego. Kąd przy udziale sędziów: Wolskiego, Dr. Man-
toya i Nandego, oraz asesora Hegendorfa. Oskar-
żenie popierał prokurator Langner z Gniezna.
w charakterze obrońców występowali adwokaci:
Adam Wolski i poseł Dr. Jankowski z Poznania, oraz adwokat Tork z Gniezna.
Jako współoskarżyciel wystąpił okręgowy inspektor szkolny Winter z Wziesińskiego reprezento-
wany przez adwokata zaboru Wagnera z Berlina.
wiceprezesa - Związku obywateli niemieckich na kr-
sach (Ostmarkenverein). Rząd reprezentował landrat z Wziesińskiego baron von Massenbach, archi-
diakon gnieźnieński-poznański - kanonik ks. Krecmar z Gniezna. Prasa, zarówno polska,



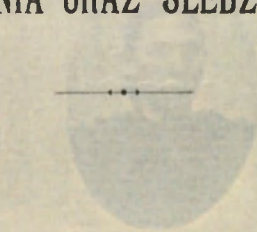
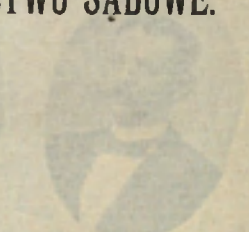



I.





AKT OSKARŻENIA ORAZ ŚLEDZTWO SĄDOWE.





T. KAHNŁ.

S. KATOWICZOWA
(POCZTA KATOWICZ)

M. KATOWICZOWA
(KATOWICZOWA)

1* KATOWICZ

M. KATOWICZ

I. KATOWICZ

M. KATOWICZ

J. KATOWICZ

M. KATOWICZOWA

A. KATOWICZ

A. KATOWICZ

A. KATOWICZ

M. KATOWICZOWA

A. KATOWICZ

Jak i znoważ, mianem Hiszpanii, przetrzymać
Przed tego obradom asygnacji przelocznym
przechodzi. Cegielni, Główni, owak, przelocznym
chod. W ciągu czterech dni obrad audytorium było
prawie ciągle przetrzymywane i przelocznym.

I

AKT OSKARŻENIA ORAZ ŚLEDZTWO SĄDOWE



J. HÄHNEL

E. KANTORCZYKOWA
(PÓŹNIEJ SĄDZONA)

H. BEDNAROWICZOWA
(JERZYKIEWICZÓWNA)

F. SZTYPULSKI

M. GADZIŃSKA

I. BALCERKIEWICZ

N. PIASECKA

I. JAGODZIŃSKI

K. ŻOŁNIEKIEWICZOWA

A. CHOJNACKI

A. STACHOWSKI

A. KORZENIEWSKI

B. ŚMIDOWICZÓWNA

A. ŚMIDOWICZ

Akt oskarżenia.

Gniezno, d. 25 czerwca 1901 r.

1) Ignacy Furmaniak, szewc z Wrześni, urodzony dnia 26 lipca 1860 roku w Szamarzewie, w okręgu wrzesińskim, syn Franciszka Furmaniaka i Maryanny Gaczyńskiej, ożeniony z Józefą Maciejewską, katolik, w wojsku nie służył, niekarany.

2) Franciszek Korzeniewski, robotnik z Wrześni, urodzony dnia 14 września 1853 r. w Cieślach, w okręgu węgrowskim, syn Bartłomieja Korzeniewskiego i Małgorzaty Nowak, ożeniony z Antoniną Hernes, katolik, był skazany:

1-o w dniu 16 września 1874 roku przez sąd okręgowy w Wrześni, za kradzież na dwa dni aresztu;

2-o w dniu 5 lipca 1881 roku przez sąd ła-wniczy w Wrześni, za kradzież na tydzień aresztu;

3-o w dniu 18 lutego 1883 roku przez sąd ziemiański w Gnieźnie, za kradzież na 3 tygodnie aresztu;

4-o w dniu 16 kwietnia 1883 roku przez sąd ziemiański w Gnieźnie, za usiłowanie kradzieży na miesiąc aresztu;

5-o w dniu 8 kwietnia 1884 roku przez sąd ławniczy w Wrześni, za ucieczkę z aresztu na 14 dni aresztu;

6-o w dniu 7 maja 1886 roku przez sąd ławniczy w Wrześni, za przywłaszczenie na 15 marek lub 5 dni aresztu;

7-o w dniu 26 kwietnia 1887 roku przez sąd ławniczy w Wrześni, za zadanie ran na 3 tygodnie aresztu;

8-o w dniu 17 lutego 1891 roku przez sąd ławniczy w Wrześni, za zadanie ran, na 2 miesiące więzienia;

9-o w dniu 26 lutego 1891 roku przez sąd ziemiański w Gnieźnie, za kradzież, na 9 miesięcy więzienia;

10-o w dniu 5 listopada 1896 roku przez sąd ławniczy w Wrześni, za obelgę z groźbami, na 2 tygodnie aresztu;

11-o w dniu 23 czerwca 1898 roku przez sąd ziemski w Gnieźnie, za dwukrotną kradzież, na rok więzienia.

3) Antoni Korzeniewski, uczeń z Wrześni, urodzony w dniu 8 października 1887 roku w Gołęńczowie, w okręgu wrzesińskim, syn Franciszka Korzeniewskiego (oskarżonego ad 2) i Antoniny Hernes, katolik, niekarany.

4) Rozalia Pawlicka, żona robotnika z Wrześni, urodzona dnia 4 września 1861 roku w Guto-

wach, w okręgu wrzesińskim, córka Ludwika Krügel i Józefy Jadłowskiej, zamężna za Józefem Pawlickim, katoliczka, niekarana.

5) Aleksander Wiśniewski, terminator szewski z Wrześni, urodzony d. 28 stycznia 1886 roku w Wrześni, syn Mateusza Wiśniewskiego i Stanisławy Snowackiej, katolik, niekarany.

6) Franciszek Szypulski, szewc z Wrześni, urodzony w d. 4 października 1864 r. w Wrześni, syn Piotra Szypulskiego i Heleny Kulcz, ożeniony z Maryanną Manicką, katolik, niekarany.

7) Stanisława Stachowiak, żona szewca, z Wrześni, urodzona d. 21 października 1867 roku w Wrześni, córka Józefa Michalaka i Petroneli Różyckiej, zamężna za Wincentym Stachowiakiem, katoliczka, niekarana.

8) Jakób Sierakowski, robotnik z Wrześni, urodzony dnia 4 lipca 1865 roku w Żydowie, w okręgu wrzesińskim, syn Marcina Sierakowskiego i Maryanny Andrzejewskiej, ożeniony z Franciszką Zuchierowicz, katolik, w wojsku nie służył, niekarany.

9) Helena Jerzykiewicz, niezamężna, z Wrześni, urodzona d. 1 kwietnia 1880 roku w Wrześni, córka rzeźnika Wojciecha Jerzykiewicza i Wiktorii Gabryelewicz, katoliczka, niekarana.

10) Jan Zienkowski (Zientek), szewc z Wrześni, urodzony w lipcu 1853 roku w Kaczanowie, w okręgu wrzesińskim, syn Macieja Zientka i Katarzyny Durzyńskiej, ożeniony z Apolonią Samolak, katolik, w wojsku nie służył, niekarany.

11) Ignacy Balcerkiewicz, szewc z Wrześni, urodzony d. 31 stycznia 1881 r. w Wrześni, syn Stanisława Balcerkiewicza i Maryanny Janiszewskiej, kawaler, niekarany, popisowy.

12) Antoni Chojnacki, szewc i brukarz z Wrześni, urodzony w dniu 4 stycznia 1866 r. w Wrześni, syn Józefa Chojnackiego i Maryanny Ptaszyńskiej, ożeniony z Heleną Habrych, katolik, rezerwista, skazany:

1-o w dniu 13 lipca 1882 roku przez sąd ławniczy w Wrześni, za kradzież, na tydzień aresztu;

2-o w dniu 6 sierpnia 1882 roku przez tenże sąd, za kradzież, na 4 tygodnie aresztu;

3-o w dniu 16 grudnia 1884 roku przez sąd ławniczy w Gołubie, za kradzież na 2 tygodnie aresztu;

4-o w dniu 3 lipca 1889 roku przez sąd wojenny w Starogrodzie w Prusach, za nieposłuszeństwo, zakłócenie spokoju domowego, zakłócenie spokoju publicznego i zadanie ran, na rok więzienia;

5-o w dniu 5 maja 1891 roku przez sztab pułku infanteryi Nr. 9 w Starogrodzie w Prusach, za obrazę i wykroczenie przeciwko regulaminowi kolejowemu na tydzień aresztu.

13) Władysław Dzieciuchowicz, rzeźnik z Sokolnika, urodzony w dniu 27 czerwca 1873 roku w Wrześni, syn Ignacego Dzieciuchowicza i Weroniki Tomaszewskiej, ożeniony z Eufrozyną Rwers, katolik, w wojsku nie służył, skazany:

1-o w dniu 4 listopada 1899 roku za obrazę

i zakłócenie spokoju domowego na 10 marek lub 2 dni aresztu;

2-o w dniu 1 sierpnia 1900 roku za zadanie ran na 30 marek, lub 10 dni aresztu;

3-o w dniu 10 października 1900 roku za zadanie ran i groźby na 2 miesiące więzienia;

4-o w dniu 10 listopada 1900 roku za zadanie ran na miesiąc aresztu.

14) Nepomucena Piasecka, żona malarza z Wrześni, urodzona w październiku 1860 roku w Miątkowie, w okręgu Środa, córka Michała Rajewicza i Wiktoryi Ołokowskiej, zamężna za Maryanem Piaseckim, katoliczka, niekarana.

15) Katarzyna Żołnierkiewicz, żona krawca z Wrześni, urodzona w dniu 18 marca 1860 roku w Wrześni, córka Jana Szkudlarka i Konstancyi Lipczyńskiej, zamężna za Janem Żołnierkiewiczem, katoliczka, niekarana.

16) Jan (Józef) Żołnierkiewicz, krawiec z Wrześni, urodzony w dniu 8 lutego 1860 r. w Wrześni, syn Kazimierza Żołnierkiewicza i Franciszki Łukomskiej, ożeniony z Katarzyną Szkudlarek, katolik, nie służył w wojsku, niekarany.

17) Franciszek Musielak, terminator szewski z Wrześni, pozostający od d. 28 maja 1901 roku w więzieniu śledczem w Wrześni, urodzony dnia 5 października 1888 roku w Sokolniku, w okręgu wrzesińskim, syn Michała Musielaka i Michaliny Żmuda, katolik, niekarany, do służby wojskowej zdatny.

18) Walenty Maciejewski, szewc z Wrześni,

urodzony 21 stycznia 1859 r. w Łęczcu, w okręgu wrzesińskim, syn Józefa Maciejewskiego i Antoniny Jerczyńskiej, ożeniony z Anielą Wankiewicz, katolik, w wojsku nie służył, skazany w dniu 17 października 1895 roku przez sąd ziemiański w Gnieźnie, jako apelacyjny, za wykroczenie przeciwko ustawie cechowej na 20 marek lub 4 dni aresztu.

19) Józef Hähnel, krawiec z Wrześni, urodzony 9 lutego 1870 r. w Wrześni, syn Andrzeja Hähnela i Barbary Barcelewskiej, ożeniony z Julianną Andrzejewską, katolik, należący do landwery 2-go wezwania, był skazany:

1-o w dniu 12 czerwca 1883 roku przez sąd ławniczy w Wrześni za kradzież na zamknięcie w domu poprawy;

2-o w dniu 28 maja 1888 r. przez sąd ziemiański w Gnieźnie, za kradzież na 9 miesięcy więzienia;

3-o w dniu 5 stycznia 1892 r. przez sąd ławniczy w Wrześni, za zadanie ran na 15 marek lub 5 dni aresztu;

4-o w dniu 30 listopada 1895 r. przez sąd ławniczy w Wrześni, za kradzież na tydzień aresztu;

5-o w dniu 4 grudnia 1895 r. przez tenże sąd za zadanie ran na 3 miesiące więzienia.

20) Ignacy Jagodziński, szwec i handlarz mleka z Wrześni, urodzony w d. 31 lipca 1855 r. w Mielżynie, w okręgu gnieźnieńskim, syn Jana Jagodzińskiego i Cecylii Splawskiej, ożeniony

z Józefą Wszelaką, katolik, w wojsku nie służył, skazany w d. 16 maja 1900 r. przez sąd ławniczy w Wrześni za obelgi na 3 marki lub jeden dzień aresztu.

21) Marcin Eichstaedt, rzeźnik z Wrześni, ur. 21 października r. 1862 w Szydłowie, w pow. mogilnickim, syn Daniela Eichstaedta i Rozalii Krzysak, żonaty ze Stanisławą Jerzykiewiczówną, katolik, nie służył wojskowo, niekarany.

22) Elżbieta Kantorczyk z Wrześni, żona szewca, urodzona w dniu 1 listopada 1863 roku w Mixsztacie, w okręgu szyldberskim, córka Hilarego Niewrzyńskiego i Maryanny Stawickiej, zamężna za Andrzejem Kantorczykiem, katoliczka, niekarana. (W czasie procesu powiła dziecko, wskutek czego proces przeciwko niej został odroczony).

23) Jadwiga Jezierska, żona tokarza, z Wrześni, urodzona w październiku 1846 roku w Środzie, w okręgu Środa, córka Józefa Dylikowskiego i Marcyanny Niemieckiewicz, zamężna za Maksymilianem Jezierskim, katoliczka, niekarana.

Są oskarżeni, a mianowicie:

A. Oskarżeni Nr. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 22 i 23 — o to:

a) że w dniu 20 maja 1901 r. we Wrześni brali udział w publicznem zbiegowisku, na którym postanowiono za pomocą gwałtów lub gróźb zmusić władzę lub urzędników, mianowicie okręgowego inspektora szkolnego i nauczycieli szkoły

ludowej katolickiej w Wrześni, do zaniechania czynności urzędowej — a to na mocy §§ 114 i 115 rozdz. I kodeksu karnego;

b) że ciż sami brali udział w tłumnym zbiegowisku, na którym przez rzucanie kamieni i uderzenia kijami dopuszczono się czynów gwałtu na rzeczach, w szczególności zaś na budynku szkoły ludowej katolickiej w Wrześni, — a to na mocy § 125 rozdz. I kodeksu karnego;

c) że ciż sami oskarżeni Nr. 14 i 17, gdy zgromadził się tłum ludzi i w celu dokonania czynów gwałtu na osobach i rzeczach wtargnął do zamkniętego budynku, przeznaczonego do użytku publicznego, mianowicie do szkoły ludowej katolickiej w Wrześni, — brali udział w tych zajęciach — a to na mocy § 124 kodeksu karnego;

d) że ciż oskarżeni Nr. 1, 2, 3, 4, 5 i 16, a oskarżeni Nr. 3 i 5 prócz tego i w d. 21 maja 1901 roku, a więc za pomocą dalszego samoistnego czynu przez głośne wołanie, wymysły i okrzyki »hurra!« i »brawo!« a także przez włożenie na parkan szkolny w sposób niewłaściwy, wywołali hałas i zakłócenie porządku i spokoju publicznego — a to na zasadzie § 360 kodeksu karnego.

B. Oskarżeni Nr. 10, 11, 12, 13 i 14, że każdy za pomocą samoistnego czynu w dniu 20 maja 1901 roku w Wrześni dopuścił się obrazy, a mianowicie:

a) oskarżony Nr. 10 okrzykami: »bijcie łotra!«;

b) oskarżony Nr. 11 okrzykami: »bijcie łotra!«, »Niech żyje Polska!«;

b) oskarżony Nr. 12 okrzykami: »psiakrew, bijcie go, łotra!«;

d) oskarżona Nr. 14 okrzykami: »psiakrew, psi dyabeł, pies niemiecki, ty chcesz naszym dzieciom wydrzeć religię, wydrapię ci oczy, zabijcie go na śmierć!«;

e) oskarżony Nr. 13 okrzykami: »powieście go na suchej gałęzi!« — publicznie wobec tłumu ludzi podzegli do spełnienia czynu przestępnego, którego wszakże nie popełniono, — a to na mocy §§ 110 i 111 rozdz. II kodeksu karnego.

C. 1. Oskarżeni Nr. 13, 20, 22 i 23, że dnia 20 i 21 maja 1901 roku w Wrześni, każdy za pomocą dalszego czynu samostnego, a mianowicie:

a) oskarżony Nr. 13 dnia 20 maja 1901 roku znieważył nauczyciela Koralewskiego i Wenzla wyrazami: »psiakrew, powiesimy cię na suchej gałęzi. Nauczycielowi, któryby tak zbił moje dzieci, jabym...«

b) oskarżony Nr. 20 dnia 21 maja 1901 roku znieważył nauczyciela Schölzchena, Wenzla i Nowickiego wyrazami: »Idźcie do rzeźni!«;

c) oskarżona Nr. 22 dnia 20 maja 1901 roku znieważyla wachmistrza miejskiego Knappego wyrazami: »garnek gorącej wody wylałabym wam na głowę!«;

d) oskarżona Nr. 23 dnia 20 maja 1901 roku wyrazami: »gdybym miała topór, wbiłabym go w ciebie« publicznie znieważyla nauczyciela Koralewskiego.

C. 2. Oskarżeni Nr. 10, 11, 12 i 14, że za po-

mocą czynów i zwrotów przytoczonych pod lit. B: a, b, c, d, publicznie znieważyli nauczyciela Koralewskiego, oskarżona zaś Nr. 4 prócz tego i okręgowego inspektora szkolnego Dr. Wintera. Ta ostatnia za pomocą jeszcze czterech samoistnych czynów, a mianowicie:

a) w dniu 20 maja 1901 roku w Wrześni wyrazami:

»Ty przekłety psie, za sto marek chcesz sprzedać dusze naszych dzieci«;

b) w tym samym dniu i miejscu wyrazami:

»Psie, nie nie będzie ci darowane, gdy stąd wyjdiesz!« — znieważyla nauczyciela Koralewskiego;

c) w tym samym dniu i miejscu wyrazami:

»Ty pasibrzuchu, zabiję cię!« — znieważyla nauczyciela Schölzchena;

d) dnia 21 maja 1901 roku tamże wyrazami:

»Idzie ten, który wszystko zrobi za 300 marek« — publicznie znieważyla nauczyciela Koralewskiego.

C. 3. Oskarżona Nr. 14 za pomocą czynów, wskazanych pod C. 2. c) i oskarżony Nr. 21 pewnego dnia w maju 1901 roku w karczmie w Kaczanowie za pomocą wyrazów, że on go zabije, że on wynajmie łobuza, który mu przekłuje serce, że on, jeżeli nie w Wrześni, to w Kaczanowie będzie zabity — grozili nauczycielowi Schölzchenowi dokonaniem zbrodni, — a to na mocy §§ 185, 200, 241, 73, 74 i 57 kodeksu karnego.

DOWODY:

a) Protokół oględzin, arkusz 102 i 103, oraz protokół ekspertyzy z dnia 21 czerwca 1901 r., arkusz 132.

b) Zeznania oskarżonych.

c) Zeznania świadków:

1. okręgowego inspektora szkolnego Dra Wintera,
 2. nauczyciela Feliksa Koralewskiego,
 3. nauczyciela Schölzchena,
 4. wikarego Laskowskiego,
 5. wachmistrza miejskiego Kozłowicza,
 6. wachmistrza miejskiego Knappego,
 7. starszego wachmistrza Eichlera,
 8. żandarma Pfitzermana,
 9. urzędnika policyjnego Stanisława Suszki,
 10. nauczyciela Oskara Pohla,
 11. nauczyciela Antoniego Nowickiego,
 12. nauczyciela Augusta Wenzla,
 - wszystkich z Wrześni.
 13. kolonisty Marcina Radtke,
 14. kolonisty Ryszarda Tewesa,
 15. oberżysty Jana Budzińskiego,
- od 13 do 15 z Kaczanowa.

WYJAŚNIENIE:

W szkole katolickiej ludowej w Wrześni, jak również i w innych miejscowościach, wprowadzony został do klas wyższych wykład religii w języku niemieckim. Jako demonstracya przeciwko temu zarządzeniu zwołane zostało w Wrześni zgroma-

dzenie ludowe w dzień Wniebowstąpienia (16 maja 1901 roku).

Pod wpływem mów, wygłoszonych na tem zgromadzeniu, rodzice namówili dzieci, uczęszczające do szkoły, aby nie uczyły się lekcyj, zadawanych z religii, aby nie odpowiadały na pytania, zwracane do nich przez nauczycieli i aby nie przyjmowały książek, napisanych w języku niemieckim.

Niektórzy chłopcy powiadomili świadków Wintera i Koralewskiego, że ks. wikary Laskowski powiedział dzieciom w swoim pokoju podczas ćwiczeń chóru kościelnego, że na niemieckim wykładzie nie powinny ani udzielać odpowiedzi, ani podnosić palców.

W celu pokonania oporu dzieci stosowane były w ciągu kilku tygodni jedynie środki pedagogiczne, później zaś, gdy dzieci nie uczyły się i nie odpowiadały, zastosowano zrazu łagodne, a następnie surowe napomnienie, wreszcie kary szkolne, polegające na zatrzymywaniu po lekcjach i chłości cielesnej.

Gdy ta ostatnia miała zostać dokonana na pewnej liczbie chłopców i dziewczynek w obecności okręgowego inspektora szkolnego i gdy dzieci w tym celu zostały zatrzymane, zjawiła się przed innymi pani Klimasowa i prosiła grzecznie, żeby jej dziecku darowano karę. Prośbie jej zadosyćuczyniono.



BUDYNEK SZKOLNY WE WRZEŚNI

Zeznania oskarżonych.

1. Oskarżona *Nepomucena Piasecka*, lat 41, żona murarza, niekarana:

Wyszedłem z domu około godziny 1½, po południu, nie wiedząc zgoła o tem, że się w szkole coś stało i jedynie tylko po to, żeby zobaczyć, gdzie zostało moje dziecko, które jeszcze nie powróciło ze szkoły. Mieszkam o trzy domy od szkoły. Przed budynkiem szkolnym widzę wielu ludzi. Wtem wychodzi stamtąd córka Janiszewskiego z rękami mocno spuchniętymi i nabiegłymi krwią i głośno płacze. Na moje pytanie, co jej się przytrafiło, odpowiedziała mi, że ją tak obić nauczyciel. Wobec tej straszliwej chłosty odżył w mojem wspomnieniu następujący fakt, który wydarzył się w Wrześni w roku ubiegłym. Po mieście oprowadzano niedźwiedzia, który okładany był kijem przez swego przewodnika. Zobaczył to nauczyciel Koralewski (nauczyciel szkoły katolickiej w Wrześni) i zabronił temu człowiekowi takiego obchodzenia się ze stworzeniem. Gdy człowiek ten nie usłuchał go, Koralewski udał się do biura policyi, wystosował skargę przeciwko niemu i oprowadzający niedźwiedzia został ukarany. Wobec sponiewierania dziecka powiedziałam sobie: więc niedźwiedzia bić nie wolno, ale za to dzieci nasze bić wolno. Serce moje ścisnęło się z bólu na myśl o naszych katowanych dzieciach, i weszłam na korytarz szkolny. Drzwi były już otworzone przez piekarza Śmidowicza. Udałam się na korytarz

i zobaczyłam, że tam stoją nauczyciele, pana inspektora okręgowego nie znałam jeszcze wtedy. Zawołałam do nauczycieli, mianowicie do Koralewskiego: Po co wy tak bijecie dzieci? Czy cesarz wyraził swe zezwolenie na wykład religii w języku niemieckim? Pokażcie mi jego podpis! Wykład religii jest rzeczą świętą i istnieje nie po to, żeby zań dzieci były katowane. My, matki, jesteśmy odpowiedzialne przed Bogiem za to, iżby nasze dzieci korzystały z dobrego i pożytecznego wykładu religii. Dlaczego tak prześladujecie polską mowę dzieci? Jeśli nie umiecie mówić po polsku, to nie udzielajcie dzieciom żadnego wykładu religii, my wcale nie potrzebujemy takiego wykładu, jaki jest obecnie w użyciu. My matki, będziemy same dbały o pożyteczny wykład. Tylko nie katujcie nam naszych dzieci.

Nie nie mamy przeciwko temu, aby dzieci nasze uczyły się w języku niemieckim, ale nie — religii.

Do Koralewskiego powiedziałam tylko, że my nie pozwolimy, żeby za 100 marek zaprzedać dusze naszych dzieci.

Na dalsze pytania przewodniczącego Pia-secka wyjaśnia:

Zanim opuściłam swoje mieszkanie, nie nie wiedziałam o chłóście dzieci w szkole. Dopiero od małej pobitej Janiszewskiej dowiedziałam się, że została ona skatowana »z powodu religii niemieckiej«. Przedtem z nikim nie umawiałam się, aby wystąpić przeciwko szkole. Przeciwnie, mówiłam do zgromadzonych osób i dzieci: Dlaczego

nie idziecie do domu? Niech lepiej każdy idzie w swoją drogę!

Przed katowaniem i przed zbiegowiskiem nie nie wiedziałam o tem, że dzieci w szkole nie chcą się uczyć religii po niemiecku. O wprowadzeniu katechizmu niemieckiego wiedziałam, osobiście jednak nie interesowało mnie to, ponieważ mój starszy syn ukończył już szkołę, a młodsze moje dotychczas są w tych klasach, w których wykład religii udzielany bywa jeszcze w języku polskim. Ze szkoły udałam się wprost do sąsiedniego sklepu, gdzie kupowałam mydło. Kamieniem w szkołę nie rzucałam; szłam boso i skaleczyłam sobie nogę o kamień, podniosłam ten kamień i rzuciłam go na stronę, co właśnie widział wachmistrz miejski Kozłowicz.

Przewodniczący: Jak wyglądały ręce uczennicy Janiszewskiej?

Piasecka: Miały na sobie niebieskie pręgi tak grube, jak kielbasy. Tak wyglądały również ręce innych dzieci, mianowicie uczennicy Nowaczewskiej.

Przewodniczący prostuje tu rozpowszechnioną przez prasę fałszywą pogłoskę, że przy tem zajściu z obu stron poleła się krew.

Przewodniczący: Czy użyła pani inkryminowanych pani uwłaczających inspektorowi okręgowemu wyrazów?

Piasecka: Nie obrażałam ani inspektora okręgowego, ani rektora (Fedtkego), ponieważ wogóle ich nie znałam. Wiem, co wtedy mówiłam.

Byłam przecież trzeźwą. Zawołałam tylko w korytarzu szkolnym: »Psiakrew! Chcesz dzieci nasze pozbawić religii! Ty łobuzie kaczanowski (Kaczanowo wieś niedaleko Wrześni). Tu nie Kaczanowo, tu nie możesz tak katować naszych dzieci, jak w Kaczanowie«.

Wniosek obrońcy.

Adwokat Woliński: Już przedtem przez sąd na wniosek obrońcy przesądzone było, że udział w procesie współoskarżyciela inspektora okręgowego Wintera ma być ograniczony tylko do faktu rzekomego znieważenia tegoż przez Piasecką. Po przesłuchaniu Piaseckiej tembardziej wnoszę, aby zażądać od pana Wintera, jako świadka, opuszczenia sali aż do czasu przesłuchania go, ponieważ przepisy postępowania sądowego nie pozwalają, aby współoskarżyciel, który ma być przesłuchany, jako świadek, przed swem zeznaniem przysłuchiwał się niedotyczącym go osobście zeznaniom oskarżonych i świadków.

Prokurator nie ma nic do zarzucenia wnioskowi, obrońca jednak współoskarżyciela, adwokat i wiceprezes związku hakatystów, adwokat Wagner z Berlina, stawia wniosek, aby pozwolono klientowi jego i jemu pozostawać w sali sądowej podczas całego ciągu obrad.

Sąd przychyła się do tego wniosku.

2. Oskarżony *Franciszek Musielak*, 17-letni terminator szewski, niekarany, pozostający od dnia 28 maja w więzieniu śledczem, zeznaje, iż mó-

wiła mu majstrowa, że dzieci były okrutnie obite w szkole. Z tego powodu udał się na ulicę kościelną, gdzie znajduje się szkoła katolicka i zobaczył wychodzącego z niej ucznia Nowaczyńskiego z napuchniętymi i nabiegłymi krwią rękami, łkającego z bólu i dowiedział się od dziecka, że »z powodu religii niemieckiej« został tak skatowany.

Oskarżony zeznaje dalej: Wskutek tego wszedłem na korytarz szkolny, zwróciłem się do nauczycieli z żądaniem, ażeby nie katowali tak strasznie dzieci. Więcej nic nie zrobiłem.

Przewodniczący: Przecież pan uczęszczałeś dawniej sam do szkoły i otrzymywałeś pan także cięgi. Dlaczego w danym wypadku właśnie był pan temu przeciwny?

Oskarżony Musielak: Żał mi było dzieci, że zostały tak strasznie zbite.

3. Oskarżony *Ignacy Furmaniak*, 41 lat, szewc, zeznaje: Już przed obiadem był pijany i o zajęciach 20 maja nie nie wiedział. Szedł on z cholewkami do handlarza skór Zorka. Tłok był wielki na ulicy, tak że po trotuarze nie mogłem przejść. Hałasu nie czyniłem żadnego.

Oskarżony przeczy również temu, jakoby na wezwanie żandarma nie poszedł dalej i odpowiedział mu, iż żandarm nie ma prawa mu rozkazywać.

4. Oskarżony *Franciszek Korzeniewski*, 47 lat, robotnik, zeznaje, że w dniu tym również był pijany, na ulicy nie stał wcale, był zaś w szynku

Witkowskiego. Z za progu widział wiele osób i dzieci. O biciu dzieci wtenczas wogóle nie nie słyszał.

Oskarżony przeczy również, jakoby sprzeciwiał się żądaniu żandarma, by szedł dalej.

5. Oskarżony *Antoni Korzeniewski*, 13-letni uczeń, syn oskarżonego Nr. 4: Niósł śniadanie dla ojca, który miał pracować w pobliżu szkoły. Przed szkołą widział masę ludzi i patrzył na nich przez dziurę w parkanie szkolnym. Widział dzieci, biegnące przed szkołą, lecz nie krzyczał razem z nimi. Żandarm zapytał go o imię, które też natychmiast mu wymienił. Dopiero od dzieci dowiedział się, że były one bite w szkole.

6. Oskarżona *Rozalia Pawlicka*, 40 lat, robotnica, niekarana, zeznaje, że szła do sąsiadującego ze szkołą sklepu Młodzikowskiego. Stał tu duży tłum ludzi, było ich tak wielu, że nie można było przejść przez ulicę. Gdy stałam przed domem Jankowiaka i nie mogłam iść dalej, podszedł do mnie żandarm i powiedział mi coś po niemiecku, czego jednak nie zrozumiałam, gdyż nie znam języka niemieckiego. Później dopiero dowiedziałam się, że pytał mnie o imię. O chłości dzieci dowiedziałam się dopiero na ulicy. Nie krzyczałam wcale, nie chciałam również przeszkadzać nauczycielom w spełnianiu ich czynności służbowych.

7. Oskarżony *Aleksander Wiśniewski*, 15-letni terminator szewski, niekarany, chociaż niedawno opuścił szkołę wrzesińską, włada jednak językiem niemieckim tak źle, że przewodniczący pozwala

mu składać zeznanie w języku polskim. Zeznaje: Byłem właśnie na podwórzu domu, graniczącego ze szkołą, gdy usłyszałem hałas. Pobieglem na ulicę i skoczyłem na parkan szkolny. Tu krzyknąłem głośno: O! — i uciekłem stamtąd (wesołość w sali). Potem wprost poszedłem do domu bez czyjegokolwiek wezwania. Dopiero przed bramą mego domu zatrzymał mnie starszy wachmistrz Eichler i zapytał mnie o imię, które mu natychmiast powiedziałem.

8. Oskarżony *Franciszek Szypulski*, 38 lat, szewc, niekarany. Zeznaje, że o wpół do pierwszej po południu wracał przez ulicę kościelną do swej roboty. Tam był taki tłok, że nie można było posuwać się naprzód. Na wezwanie żandarma poszedł jednakowoż dalej i już o trzy kwadransy na pierwszą był przy robocie. O co wtedy chodziło, zgola nie wiedział.

9. Oskarżona *Stanisława Stachowiak*, 34 lat, żona szewca, szła o wpół do czwartej w odwiedziny do siostry. Przed szkołą spotkała kilka kobiet, z którymi rozmawiała przez chwilę. W tem zbliżył się do nich żandarm Eichler i zapytał je: »Czy wy, kobiety, nie macie w domu do roboty?« Na to oskarżona mu odpowiedziała: »Nie, bo dziś mamy »szewski poniedziałek«. Z tego powodu żandarm ją zapisał, ona zaś spokojnie poszła dalej. O wypadkach po godzinie 12-iej nie przedtem nie wiedziała.

10. Oskarżony *Jakób Sierakowski*, 36 lat, robotnik, niekarany. Według jego zeznania, szedł

on wypadkowo przez ulicę Kościelną, nie podejrzewając bynajmniej, że się tam coś dzieje. Spotkał znajomego szewca i prosił go o tabakę. Wówczas zbliżył się żandarm i zażądał, żeby szli dalej, co też uczynili. O katowaniu dzieci nic przedtem nie wiedział.

11. Podana w akcie oskarżenia jako niezamężna Helena Jerzykiewicz i na krótko przed terminem zamężna *Helena Bednarowicz*, zaledwie dwudziestoletnia kobieta, niekarana. Szła mniej więcej o pierwszej godzinie do swej ciotki Niemierowicz, żony majstra rzeźniczego, która jest właścicielką domu, oddalonego od gmachu szkolnego zaledwie o kilka kroków. Stała na schodach domu swej ciotki razem z kuzynkami, które opowiadały jej o katowaniu dzieci i ironicznie śmiała się z tego, wskutek czego krewni przestrzegali ją, żeby dała pokój z tym śmiechem, gdyż za to może być zanotowana. I w istocie przyszedł żandarm i zażądał od niej, żeby szła dalej. Gdy mu odpowiedziała, że stoi przed domem swej ciotki, zażądał, by mu powiedziała swe nazwisko. Wtedy ona odpowiedziała mu: Co? Pan nie zna mego nazwiska? Przecież ja nic nie robię! Ostatecznie powiedziała mu swoje nazwisko.

12. Oskarżony *Jan Zientek*, lat 48, szewc, niekarany, zeznaje: Wyszedł mniej więcej o godzinie 5-ej po południu ze swego mieszkania na ulicę, żeby zawołać swoich dwóch synów. Właśnie usta otworzył, żeby ich zawołać, gdy przechodzący wówczas żandarm Pfizerman nie zrozumiał jego

giestu i zanotował go. O tem, co się wydarzyło w szkole, nic nie wiedział. Nie widział, żeby go mijał nauczyciel Koralewski i również nie wymyślał mu od »złodziei«.

13. Oskarżony *Ignacy Balcerkiewicz*, 20-letni syn szewca, niekarany, wyjaśnia: Wyszedł o godzinie 4-ej z domu swego ojca i zobaczył, że idzie wielu ludzi. Przystanął przed domem sąsiada ze skrzyżowanymi rękami. W pobliżu stało wiele osób. Żandarm Pfitzerman zanotował go, oczywiście, przez pomyłkę. Trzy razy zapytywał żandarma, po co go zanotował. Dopiero na jego trzecie zapytanie żandarm odpowiedział: »Ja wiem, po co«.

Przewodniczący: Czyś pan wymyślał na nauczyciela Koralewskiego: »Ty, złodzieju!« i »walcie go!«

Oskarżony *Balcerkiewicz*: »Jakże ja mógłbym to uczynić, skoro Koralewski był moim najlepszym nauczycielem«.

14. Oskarżony *Antoni Chojnacki*, szewc i brukarz, karany, zeznaje, że około godziny pierwszej po południu w pobliżu szkoły, gdzie się znalazł wypadkiem, był taki alarm, iż początkowo myślał, że wybuchnął ogień. Wtedy zobaczył matki, które płakały i lamentowały, że dzieci ich były skatowane w szkole. On sam widział skatowane dzieci, mianowicie ucznia szkolnego Nowaczewskiego z mocno nabrzmiałymi rękami. Pokazał ręce chłopca wachmistrzowi Kozłowiczowi, który właśnie przechodził i który dał mu radę, że rodzice mogą zanieść skargę na nauczycieli. Na ulicy

nie krzyczał i zawołał tylko do przechodzącego przyjaciela: »Ignacy, chodź ze mną do Gawlaka, pójdziemy się napić!« Za to żandarm zanotował go.

15 Oskarżony *Władysław Dzieciuchowicz*, lat 28, majster rzeźniczy, wyjaśnia, że w d. 20 maja pojechał z mięsem do Wrześni i zajechał do jatki, położonej naprzeciwko szkoły. Około godziny 4-ej wyszedł na ulicę i w korytarzu spotkał płaczące dziecko i płaczącą matkę, która oskarżonemu ze łzami w oczach pokazała silnie spuchnięte i nabiegłe krwią ręce dziecka. Na to oskarżony, nie wiedząc o tem, że nauczyciel Koralewski właśnie przechodzi, zawołał: »Gdyby nauczyciel tak skatował moje dziecko... i powiesiłbym na suchej gałęzi«. Widok napuchniętych i nabiegłych krwią rąk dziecka wywołał u niego ten okrzyk. Zaraz potem pojechał do Sokolnik, które są oddalone od Wrześni o 4 kilometry i w których stale mieszka. Zbiegowiska wcale nie widział i wcale w niem nie brał udziału.

16. Oskarżona *Katarzyna Żołnierkiewicz*, lat 41, żona krawca, niekarana, zeznaje: Widziałam z okna mego mieszkania, że przez ulicę idą płaczące dzieci. Wyszłam na ulicę i zobaczyłam, że ręce dzieci były do tego stopnia spuchnięte, że musiały one trzymać książki pod pachą. Dzieci gorzko płakały.

Przewodniczący: Po cóż pani pobiegłaś do szkoły?

Oskarżona *Żołnierkiewicz*: Z obawy.

Mam w szkole syna, który przez 3 lata siedział w jednej klasie. Chłopiec był mało zdolny. Został on tak skatowany przez nauczyciela Nowickiego, że po roku zaczął jąkać się i jąka się dotychczas.

(Dr. Krzyżagórski w charakterze przysięgłego rzeczoznawcy wyraża opinię, że u dziecka obawa przed silną chłostą może wywołać jękanie się).

Przewodniczący: Czemuż tam zbiegło się tyle osób?

Oskarżona Żołnierkiewicz: Ponieważ skatowane dzieci tak strasznie płakały.

17. Oskarżony *Jan Żołnierkiewicz*, lat 41, krawiec, niekarany, małżonek oskarżonej Nr. 16. potwierdza jej zeznanie. Podszedł do budynku szkolnego, żeby się przekonać, czy jego troje dzieci, uczęszczających do szkoły, były również skatowane.

18. Oskarżony *Walenty Maciejewski*, lat 42, szewc, zatrzymał się na ulicy tylko na 2 minuty, nie rzucającego się w oczy tam nie robił i nie nie zauważył.

19. Oskarżony *Józef Hähnel*, lat 31, krawiec, zeznaje, że na ulicy Kościelnej spotkał skatowanego chłopca ze szkoły i widział jego ręce nabiegłe krwią. Pokazał je miejskiemu wachmistrzowi Kozłowiczowi i na jego żądanie zaraz poszedł dalej.

20. Oskarżony *Ignacy Jagodziński*, lat 46, szewc i handlarz mleczywa, wyjaśnia, że gdy w dniu powszechnej chłosty dzieci, stał przed swoim domem, powiedział do siebie samego, gdy przechodzili nauczyciele Schöltzchen, Wentzel i No-



wieki: »Oto idą teraz rzeźnicy«. Nie więcej nie powiedział. Podczas zbiegowiska weszła do jego sklepiku jakaś kobieta i skarżyła się przed nim i jego żoną, że nauczyciel Koralewski znęcał się nad jej córką, że przemocą otworzył jej usta i przytem powiedział: »Teraz musisz modlić się po niemiecku«.

Oskarżony sam widział pewnego razu jedno z dzieci ze skatowanemi rękami; które to było dziecko, nie może już sobie przypomnieć. Dziecko mu powiedziało, że to uczynił inspektor szkolny.

21. Skargę przeciwko majstrowi rzeźniczemu Marcinowi Eichstaedtowi z Wrześni prokurator cofnął.

22. Oskarżona *Elżbieta Kantorczyk*, lat 38, żona szewca, niekarana. Wzbudza ogólne współczucie, gdyż zachodzi obawa, że lada chwila może uleść rozwiązaniu (posiada już 8 dzieci). Powicie dziewiątego dziecka nastąpiło istotnie w trzecim dniu procesu.

W dniu 21 maja popołudniu znajdowała się na podwórzu, gdy nagle w sieni domu ujrzała jakiegoś mężczyznę i poza nim żandarma. Człowiek ten uciekał i przewrócił się, ona zaś, oskarżona, była do tego stopnia wystraszona, że upadła na ziemię. Gdy trochę przyszła do siebie, wyszła na ulicę, żeby poszukać swoich dzieci; kobietom, które stały w pobliżu, opowiedziała, że upadła i że się ledwo trzyma na nogach. Stała przed domem, w którym mieszka, daleko od szkoły, była zaledwie godzina 2-ga po południu. O żandarmie

Knappem nie powiedziała: »że wylałaby mu garnek gorącej wody na głowę«. Lecz, gdy od niej zażądał, żeby weszła do domu, nie zrozumiała, co powiedział i rzekła tylko do swej sąsiadki: »jestem tak wzburzona, że mogłabym wylać garnek gorącej wody na głowę«.

23. Oskarżona *Jadwiga Jezierska*, lat 55, żona tokarza, zeznaje, że przechodziła obok szkoły i żadnego hałasu nie czyniła, protestuje również przeciwko temu, aby miała powiedzieć, że ucięłaby siekierą głowę nauczycielowi Koralewskiemu.

Wreszcie do szeregu staje jeszcze trzech oskarżonych, którym proces został wytoczony już po ukończeniu śledztwa pierwiastkowego. Zeznają oni:

24. Oskarżony *Stachowski*: Niósł wodę dla swej żony, zobaczył zbiegowisko przed szkołą, zaniósł wodę do domu i wrócił z powrotem, żeby zobaczyć, co się stało. Z początku myślał, że pali się. Zatrzymał się na trotuarze naprzeciwko szkoły. Zobaczył jakiegoś chłopca, który, trzymając książki pod pachą, ręce zaciskał z bólu i drżał na całym ciele. Dlaczego dzieci były katowane, nie wiedział; skandalu żadnego nie czynił. Gdy żandarm zażądał od niego, żeby poszedł do domu, uczynił to.

25. Oskarżony *Jarmużkiewicz*: Był na ulicy i rozmawiał z swym przyjacielem. Jeden z żandarmów powiedział, że nie wolno tam iść. Zadzwił się, bo nie wiedział, dlaczego. Nie widział, żeby w szkołę rzucano kamieniami i łaskami.

Początkowo nie wiedział, że dzieci były ukarane w szkole i protestuje przeciwko temu, że miał jakoby powiedzieć do żandarma, że ten nie ma prawa mu rozkazywać.

26. Oskarżony *Rydliński*: Przenosił podówcześnie węgle do kupca. Gdy drugi wóz przez czas dłuższy nie nadjeżdżał, wyszedł na ulicę, żeby zobaczyć, dlaczego nie przyjeżdża. Tam stało wiele osób, wskutek czego myślał, że się gdzieś pali. Poszedł do oberży Witkowskiego, żeby wypić kufelek i wypalić cygaro, zapalił tam cygaro, przystanął koło progu i rozmawiał z Haehnelem.

Na tem ukończone zostało przesłuchanie oskarżonych.

Przesłuchanie okręgowego inspektora szkolnego Wintera.

Świadek ma lat 37, jest ewangelikiem. Zeznaje: W dniu 20 maja przybyłem do szkoły katolickiej we Wrześni około godziny 10-ej rano i dowiedziałem się tam właśnie od nauczyciela Schöltzchena, że dzieci zupełnie stanowczo uchylają się od nauki religii w języku niemieckim i ani nie chcą odpowiadać na stawiane sobie pytania, ani nie chcą powtarzać słów wypowiedzianych przez nauczyciela. Sam przekonałem się o tem również. Wówczas zadecydowałem, żeby najbardziej uparte dzieci pozostały w kozie do obiadu. Miały one w kozie nauczyć się pieśni: »Kto się w opiekę odda Panu swemu«. Około godziny 12 powróci-



Uczniowie i uczennice szkoły wrzesińskiej, zatrzymani w dniu 20-ym maja 1901 r. w szkole dla otrzymania chłosty z rąk nauczyciela Schölzchena.

łem do szkoły. Te dzieci, które nauczyły się nawet tylko początkowych wyrazów tej pieśni, puściłem do domu. Czternaścioro zaś dzieci, które orzekły, iż nie będą uczyły się religii po niemiecku, postanowiłem ukarać przykładnie. Zarządziłem, ażeby wszystkie dzieci po kolei otrzymały chłostę z ręki nauczyciela Schöltzchena. Dzieci otrzymały 4 do 8 uderzeń po siedzeniu i po rękach. Prawo chłosty nie zostało tu przekroczone. Na nauczycieli nie spada z tego powodu żadna odpowiedzialność, ponieważ ja nakazałem chłostę. Przy chłoscie był również obecny nauczyciel Koralewski. Niektóre dzieci płakały, opuszczając szkołę. Po pewnym czasie powiedzieli mi nauczyciele, że na ulicy robi się głośno. Sam także dostrzegłem wiele ludzi na ulicy, wskutek tego poszedłem z nauczycielami do pokoju od tyłu, aby tam odbywać dalej chłostę. Wtem weszła niejaka pani Klimas do pokoju szkolnego i powiedziała, że nie ścierpi, aby jej dziecko było katowane. Powiedziała także, że wolałaby raczej widzieć dziecko swoje na marach, niż ażeby miało uczyć się religii po niemiecku. Ponieważ widziałem, że jest wzburzona i do tego w stanie błogosławionym, zaniechałem chłosty jej dziecka. Jednocześnie wszedł do szkoły piekarz Śmidowicz, który w podobnej okoliczności już dawniej niejednokrotnie nachodził mnie i nauczycieli. Zwrócił mi uwagę, że katechizmy powinny być tak drukowane, ażeby na jednej stronie znajdował się tekst niemiecki, a na drugiej polski, a wtedy dzieci

uczyłyby się chętniej. Prosił także, aby zaniechać dalszej chłosty dzieci, ponieważ na dworze zbiera się wiele ludzi i może dojść do wybuchu. Ponieważ proboszcz Łabędzki dawniej raz przedstawił mi Śmidowicza jako fantastę, więc nie przywiązywałem żadnej wagi do jego przemowy i kazałem mu, by opuścił gmach szkolny, co też niezwłocznie uczynił. Ponieważ na dworze hałas się wzmagał, udałem się po policję. Ulica była zapelniona ludźmi. Wołali oni coś do mnie, jednak nie lżyli mnie. W biurze policyi był mi dodany urzędnik Kozłowicz, który razem ze mną poszedł do szkoły. Przedtem zaś już prosiłem sekretarza miejskiego, aby przysłał więcej policyantów. W drodze powrotnej do szkoły również nie byłem lżony przez ludność. Gdy powróciłem, radzili mi nauczyciele, aby zaniechać chłosty trojga jeszcze pozostałych dzieci. Nakazałem jednak dalszą chłostę, ponieważ uważałem za niekonsekwentne przerywać chłostę ze względu na tłum. Nauczyciele radzili mi dalej, abym udał się na górę i tam się zamknął, co jednak odrzuciłem, ponieważ (z emfazą) urzędnik pruski nie może opuszczać swego stanowiska. Udałem się wtedy do sieni, wtem otworzyły się drzwi i wpadło wielu ludzi, a na czele ich Piasecka. Mówiła coś bardzo głośno, czego jednak nie rozumiałem, ponieważ wogóle nie rozumiem po polsku. Sądzę także, że pomiędzy osobami, które wtargnęły, poznałem Musielaka i Żołnierkiewicza. Kozłowicz wyprowadził Piasecką. Raptem hałas ucichł, gdyż zaczął padać

deszcz i zjawili się żandarmi na placu. Starszy wachmistrz Eichler zapytał mnie, jakie rozporządzenie mam do wydania. Powiedziałem, że powinien zapewnić mi bezpieczeństwo. Radził mi, abym oddalił się przez podwórze, czego jednak nie usłuchałem, ponieważ musiałbym wdrapać się na parkan, czego nie uważałem za konieczne. Wskutek tego opuściłem gmach szkolny, poszedłem przez tłum do domu i przez drogę nie byłem znieważony.

A dwokat Woliński: Czy to prawda, że pan żądałeś od urzędnika policyi Kozłowicza, żeby dobył szabli z pochwy, a on panu na to odpowiedział, że zna swoją służbę i że nie uważa tego za potrzebne?

Winter: Tak, to prawda. Uważałem się wtedy za uprawnionego do tego, ponieważ byłem zdania, że sprawa bynajmniej nie jest tak niewinna. Sądziłem, że dojdzie co najmniej do ran. Był tylko jeden policyant, którego zachowanie się, według mnie, nie było takie, byśmy mogli byli uważać się za bezpiecznych. Dla charakterystyki tegoż przytoczę, iż córka jego wtedy właśnie nie chciała odpowiadać na pytania niemieckie z religii.

Przewodniczący: Czy przed 20-ym maja odbywały się kiedy chłosty dzieci z powodu wykładu religii?

Winter: Owszem. Dwa razy. Rząd przysłał katechizmy niemieckie do rozdania pomiędzy dzieci z klas wyższych. Wiele dzieci nie przyjęło

ich, wiele oddało je z powrotem. Wskutek tego kazałem ochłostać dwoje dzieci. Na kozę zaś było skazywanych przedtem wiele dzieci za swą oporność.

Przewodniczący: Prasa wypowiadała zdanie, że dzieciom grożono okrutnym sądem.

Winter: To nie jest prawdą. Było im tylko zapowiedziane, że w razie nieposłuszeństwa będą bite. Miałem to przeświadczenie, że w grę wchodziły tu wpływy postronne.

Wykład religii po niemiecku był, jak to dalej zeznaje świadek, wprowadzony około Wielkiejnocy, i to w klasie wyższej. Dziwnym jednak sposobem książki sprowadzone zostały dopiero później, tak, iż z początku były widoczne trudności.

Na zapytanie pierwszego prokuratora odpowiada jeszcze świadek: odmawianie wszelkich odpowiedzi w języku niemieckim trwa ogólnie dotychczas, na przykład w pierwszej (najwyższej) klasie żadne dziecko nie odpowiada na niemieckie pytania.

Świadek na przykład udał się do proboszcza Łabędzkiego, któremu powiedział, iż nie przychodzi do niego w celu układów i opowiedział mu o Śmidowiczu. Świadek miał wrażenie, że proboszcz zgadza się z nim w potępianiu faktu i że od niego można oczekiwać życzliwego poparcia.

Inne za to było stanowisko wikarego Laskowskiego, który, jak Winterowi było wiadomo, był karany za zakazane udzielanie nauki języka pol-

skiego i który mówił, że pomimo tego będzie nadal prowadził te wykłady. Świadek zaznaczył, że wikary przeciwdziałała wpływom szkoły, naprzykład rozdał on dzieciom książki polskie i dopiął tego, że z niemieckiej biblioteki uczniowskiej zaczęto korzystać mniej, niż przedtem. Pewnemu dziecku, pochodzenia czysto niemieckiego, sierocie, dawał książki polskie. U jednego ucznia znaleźliśmy książkę polską, daną mu przez wikarego. W dniu 20 maja Laskowski napisał list otwarty do kolegium nauczycielskiego. Stwierdził również świadek, że wikary podczas ćwiczeń chóru kościelnego usiłował wywierać wpływ na dzieci. Jedno z dzieci powiedziało, że wikary mówił do nich, aby podczas godzin religii w języku niemieckim nie odpowiadały zupełnie. Dziecko to cofnęło później swe zeznanie, twierdząc, że jakoby wymyśliło je pod wpływem strachu. Przyznało jednak, iż radzono im, aby prosiły nauczycieli o nieudzielanie im wykładu religii w języku niemieckim. Ze zgodnie brzmiących wyjaśnień innych dzieci wyniósł świadek wrażenie, że wszystkie były wyuczone. Później opowiadała pewna dziewczynka, jakoby wikary mówił, iż dzieci nie rozumieją po niemiecku, i dlatego też nie potrzebują odpowiadać lub podnosić palcy. Jeden z chłopców, który okazał gotowość przyjęcia książek niemieckich i odpowiadania, wzdragał się później przed tem, ponieważ mu, gdy poszedł do spowiedzi, wikary wzbronił odpowiadać po niemiecku. Przy przesłuchaniu znów zaprzeczał temu.

Stąd wywnioskował Winter, że dzieci zostały namówione. Co się zaś tyczy wpływu na rodziców, to świadek twierdzi, iż wie, że wikary podczas majowego nabożeństwa przemawiał przeciwko zbiegowisku, ponieważ landrat zapowiedział radnym miasta, że będzie tam posłane wojsko, jeżeli się stan rzeczy nie polepszy. Świadek nie ma żadnej podstawy faktycznej do przypuszczenia, iż zgromadzenie polskie, które odbyło się we Wrześni 16 maja, wywarło wpływ na rodziców. Żywi jednak przekonanie, że wpłynęło ono na ich postawę.

Adwokat Woliński: Czy słyszał pan cośkolwiek o tem, że nauczyciel Koralewski powiedział dzieciom, czy też ich rodzicom, że arcybiskup jakoby zaakceptował wykład religii w języku niemieckim, a to na tej podstawie, że i na niemieckich katechizmach »Imprimatur« zawiera podpis i pieczęć arcybiskupią?

Winter: O ile mi jest wiadomem, Koralewski musiał to rozumieć w innem znaczeniu.

Przewodniczący zaznacza, że uważa za konieczne wyjaśnienie tej kwestyi wobec zarzutu, czynionego jemu i prokuratorowi w pewnym dzienniku, jakoby oni obydwaj wyrażali się w tenże sposób o »imprimatur« w procesie, niedawno wytoczonym redaktorowi odpowiedzialnemu »Lecha«. Zarówno sąd jak i pan prokurator, znają dokładnie znaczenie »imprimatur«. Przewodniczący musi zaznaczyć, że sąd nadaje temu słowu takie samo znaczenie, jak i arcybiskup w liście, przesłanym

obecnie, zarazem sąd doskonale jest poinformowany co do tego, że arcybiskup, jak sam zaznacza to w liście, nie dał swego zezwolenia na wykład religii w języku niemieckim.

Adwokat Woliński: Czy prawdą jest, że p. Winter początkowo przeciwko Piaseckiej nie wniósł oskarżenia? Kto pana później do tego zniewolił?

Winter: Wniosłem oskarżenie dopiero później, gdyż Piaseckiej nie znałem poprzednio i ponieważ mówiła po polsku.

Adwokat Woliński: Jednakowoż w aktach sądowych mieści się wyjaśnienie Wintera, że nie chce wnosić żadnego oskarżenia przeciwko Piaseckiej, gdyż uczynił to już Koralewski.

Przewodniczący stwierdza, że do tego skłonił później pana Wintera rząd.

Adwokat Woliński: Czy jest panu wiadomem, co mówią ogólnie we Wrześni co do charakteru i pozasłużbowego zachowania się Koralewskiego, w szczególności zaś o tem, że jest pijakiem w silnym stopniu i szulerem, który po całych nocach grywa w hazard?

Przewodniczący zapytuje, czy jest rzeczywiście potrzebne, żeby to roztrząsać?

Adwokat Woliński: Oczywiście — służy to do ogólnej charakterystyki Koralewskiego, jednego z głównych świadków oskarżenia. Czyż nie jest to ważnem, że nauczyciel, który powinien przyświecać dzieciom dobrym przykładem, oddaje się pijaństwu i szulerce?

Winter: Nie o tem nie wiem. Koralewski służy wiernie i cieszy się zaufaniem rządu. O ile wiem, dyscyplinarnie jeszcze nie był karany. Wiele skarg wnoszono przeciwko nauczycielom, po większej części jednak okazują się one bezpodstawnymi.

Adwokat Woliński: Czy jesteś pan członkiem związku obrony niemieczyny na kresach (Ostmarkenverein)?

Winter: Nie.

Adwokat Woliński: Czy byłeś pan na zjeździe hakatystów? Zadaję panu pytanie podobne do tego, jakie p. prokurator postawił Drowi Krzyżagórskiemu z powodu wizyty tego ostatniego w Pradze Czeskiej (patrz niżej).

Winter: Nie.

Adwokat Woliński: Czy wiadomem jest panu, że Koralewski często wyrażał się z pogardą o Polakach i o polskiej modlitwie?

Winter: Nie.

Adwokat Woliński. Jednakowoż we Wrześni było to ogólnie znanem i z tego powodu żywiono niechęć do Koralewskiego.

Adwokat Dr. Dziembowski: Czy ludność Wrześni wiedziała przed d. 20 maja, że w najbliższym czasie ma nastąpić chłosta na wielką skalę.

Winter: Chłosty na wielką skalę wogóle nie odbywają się. Nikt nie może przewidzieć, że mogą nastąpić jakieś zajścia. Kary cielesne w dniu 20 maja nie przekraczały zwykłych granic. Stan

rzeczy w szkole katolickiej we Wrześni jest bardzo smutny. Dzieci bardzo kłamią, kary za kradzież, znęcanie się nad zwierzętami, dręczenie starców i współuczni, pijaństwo — są to zjawiska bardzo częste. W pięciu wypadkach zostały dzieci na żądanie rodziców ukarane. Wypadki te wydarzyły się przed dniem 20 maja. Naprzykład dziecko, które na lekcyi religii odpowiedziało po niemiecku, zostało pobite i zelżone przez kolegów. Wyłajano również nauczyciela. Na obchód Sedanu nie chciały dzieci nauczyć się żadnej niemieckiej pieśni. Pewna dziewczyna plunęła dziecku w twarz, ponieważ odpowiedziało po niemiecku na niemieckie pytanie. Przed trzema dniami jeszcze 13 uczniów odmawiało śpiewania pieśni: »Jestem prusakiem« na tej zasadzie, że są Polakami, a inny chłopiec bardzo ciężko obraził księżąt domu królewskiego.

Świadek odpowiada w dalszym ciągu na pytania: Jedno z pobitych dzieci miało sprowadzić ludzi, którzy chcieli uczynić zgiełk. Już przed 20 maja świadek powiedział, że, jeśli stan rzeczy się nie zmieni i pozostawianie w kozie nie pomoże, szkoła będzie zmuszona uciec się do kar cielesnych. Po 20 maja chłosta nie była stosowana.

A d w o k a t Dr. D z i e m b o w s k i: Dziękujemy panu za tak sympatyczną charakterystykę wrzesińskich dzieci. Każdy jednak przyzna, że kary podobne stosowane bywają w każdej szkole o tak znacznej liczbie dzieci. Co uważa pan za przyczynę zgromadzenia z dnia 20 maja?

W i n t e r: Niektóre z pobitych dzieci wyszły

na ulicę. Musiał ktoś, komu na tem zależało, zwołać ludzi. Co w istocie odbyło się na ulicy, tego nie wiem.

A d w o k a t D r. D z i e m b o w s k i: Czy jest pan przekonany, że wina spada tu na zgromadzenie ludowe?

W i n t e r: Obowiązkiem moim było i to wziąć pod uwagę, a przekonanie to powziąłem, ponieważ na zgromadzeniu była mowa o mojem zarządzeniu. Zresztą przyznaję, że zgromadzenie miało charakter spokojny.

A d w o k a t D r. D z i e m b o w s k i: A więc są to jedynie pańskie domniemania? Gdzie jest ów kij, którym zadawane były razy? Ta własność skarbową nie mogła tak przecież zniknąć bez śladu. Dlaczego nie przysłano kija do prokuratury, jest to przecież najwłaściwsze miejsce do przechowywania podobnych dowodów winy? (powszechna wesołość).

W i n t e r: Może ten kij później zużył się.

A d w o k a t D r. D z i e m b o w s k i: Może zużycie to nastąpiło wskutek wielokrotnego stosowania kija w sposób podobny do dnia 20 maja, lub może kij ten już w 20 maja pękł na dwoje wskutek zbyt energicznego użytku.

W i n t e r: Po chłóście 20 maja kij był zupełnie cały! Odpowiadał on w zupełności swemu celowi (wołanie na sali: z pewnością!).

A d w o k a t D r. D z i e m b o w s k i: Powiedziałeś pan, że nie należysz do „związku ochrony niemczyzny na kresach“ (Ostmarkenverein). Skąd

się to wzięło jednak, że pan, jako współoskarżyciel, reprezentowany jesteś przez radcę sądu Wagnera z Berlina, wiceprezesa tegoż związku?

Winter: Prosiłem go o to. Wiele o nim słyszałem i czytałem.

Adwokat Woliński: Czy wykład religii w języku niemieckim został zaprowadzony na zarządzenie pańskie, czy też wrzesińskiej rady nauczycielskiej, lub wprost wskutek rozporządzenia rządowego?

Pierwszy prokurator zwraca uwagę inspektora okręgowego na to, iż ten może odmawiać odpowiedzi na zapytanie, dopóki nie otrzyma zezwolenia rządu królewskiego, jako swej władzy.

Winter odmawia odpowiedzi na pytanie (okrzyki w sali: Aha!).

Adwokat Woliński: Czy według pańskiego zdania dzieci z pierwszego i drugiego oddziału są tak mocne w języku niemieckim, że mogą z zupełnem zrozumieniem przedmiotu korzystać z wykładu religii w tym języku?

Winter: Jestem zdania, że dzieci mogą rozumieć najtrudniejsze pojęcia i zasady wiary w języku niemieckim.

Adwokat Woliński: W każdym razie podczas obecnego procesu dzieci nie złożyły dowodów takiej znajomości języka niemieckiego. Lecz jeszcze jedno pytanie: Czy przed dniem 20 maja rodzice nie skarżyli się przed panem często na zbyt silną chłostę ich dzieci i czy nie zwracali się do pana z propozycją wystosowania do rządu

prośby o cofnięcie rozporządzenia, dotyczącego zaprowadzenia wykładu religii w języku niemieckim?

Winter: Otrzymałem tak wiele zażaleń, że nie jestem w stanie pamiętać żadnego z nich. Prośba o usunięcie wykładu religii w języku niemieckim została przez rodziców wystosowana, lecz, jako bezzasadna, odrzucona.

List Arcybiskupa Stablewskiego do prezesa sądu ziemiańskiego Kah'a.

Poznań, 12 listopada 1901 r.

Szanowny Panie! Według sprawozdań dzienników pan, jak również pan prokurator w procesie przeciwko gazecie »Lech« mieliście jakoby powiedzieć, że wprowadzenie wykładu religii w języku niemieckim w szkole początkowej we Wrześni odbyło się za moją zgodą, czy też przyzwoleniem, a mieliście wyciągnąć ten wniosek z »imprimatur«, które zostało udzielone wydaniu katechizmu niemieckiego. Nie mogę wierzyć w autentyczność tego rzekomego twierdzenia panów. Aby jednak położyć tamę dalszym nieporozumieniom mam honor sz. panu oznajmić, co następuje:

1) Wiadomo, że zarząd oświaty przy zaprowadzaniu sposobów nauczania we względzie języka wykładowego religii w szkole nie porozumiewa się z władzą duchowną i nie uzyskuje zgody tejże, co wynika z publicznych wyjaśnień

ministra wyznań w sejmie pruskim, iż władze duchowne nie miały ani możności, ani sposobności po temu, by aprobować lub też wzbraniać zaprowadzenia języka niemieckiego przy wykładzie religii w szkole wrzesińskiej.

2) Każdy katolik, posiadający elementarne wiadomości z religii, powinien wiedzieć, że »imprimatur« władzy duchownej na książce nie oznacza nic innego, jak tylko to, iż w niej nie znajduje się nic, co sprzeciwiałoby się wierze, lub dobrym obyczajom. Zatem »imprimatur« na katechizmie polskim, przeznaczonym dla dzieci, których językiem ojczystym jest język polski, tak samo, jak »imprimatur« na katechizmie niemieckim, przeznaczonym dla dzieci, dla których językiem rodzinnym jest język niemiecki, nie daje bynajmniej podstawy do wniosków, iż zawiera się w niem przyzwolenie lub aprobata do używania obydwóch katechizmów wbrew ich przeznaczeniu kościelnemu i wymaganiom Kościoła.

Byłoby zatem dla mnie bardzo pożądane, gdyby mi pan udzielił autentycznego wyjaśnienia względem twierdzenia pańskiego i pana prokuratora i ewentualnie zechciał sprostować pański pogląd, o którym mowa, wobec nadchodzącego procesu.

Z wysokim szacunkiem

Arcybiskup Floryan Stablewski.

Do Wielmożnego Prezesa

Królewskiego Sądu Ziemiańskiego

Pana Kah

w Gnieźnie.

Przesłuchanie nauczyciela Koralewskiego.

Świadek w zupełności potwierdza całkowite zeznanie inspektora szkolnego okręgowego Wintera, o ile ono dotyczy wypadków, które rozegrały się przed budynkiem szkolnym i w samym budynku. Przytem jeszcze nadmienia, że poza Piasecką do budynku szkolnego wtargnęło więcej, niż dziesięć osób i że Piasecka zawołała jakoby: »Psiakrew, za sto marek tybyś sprzedał dusze naszych dzieci«.

Adwokat Woliński: Czy Winter kazał Kozłowiczowi wyciągnąć pałasz z pochwy?

Koralewski: Winter powiedział do niego: »W jakim celu masz pan broń?«

Świadek ciągnie dalej: »Skoro wyszedłem na ulicę, przyjęty zostałem z wielkim hałasem i wymysłami. Cofnąłem się z powrotem do budynku szkolnego. Gdy powracałem do domu o godzinie 4-ej, zawołano z tyłu za mną: »Psiakrew, ty łajdaku!« Gdy powróciłem do domu, żona moja i dzieci powitały mnie płaczem, myśląc, że jestem zraniony. Późnym wieczorem wrzucił ktoś kawał cegły przez okno do mego pokoju. Obawiałem się o siebie i o swoją rodzinę. Posłałem o pomoc do żandarma Pfitzermana i przed moim domem postawiona została placówka«.

Adwokat Woliński: Czemu pan przypuszcza, że wymysły Piaseckiej stosowały się do Wintera?

Koralewski: Gdyż ona stała wówczas w sieni pomiędzy mną a Schöltzchenem.

Przewodniczący: Coś pan powiedział do Gadzińskiej, żony służącego szkolnego?

Koralewski: Powiedziałem do jej syna: »Jesteś synem pedela, masz wszystkie książki za darmo, możesz to stracić, a ojciec twój może stracić miejsce, jeżeli nie będziesz słuchał i uczył się religii«. Potem powiedziałem to samo do Gadzińskiej, która płakała z tego powodu, że jej syn ma teraz uczyć się religii inaczej, niż dotychczas. Przyniosłem niemiecki katechizm i pokazałem jej pieczęć arcybiskupa na dowód, że to jest ta sama religia. Nie dała sobie jednak tego wytłómaczyć, gdyż wciąż powtarzała, że to nie jest to samo, bo to — po niemiecku. Kiedy zwróciłem jej uwagę na to, że papież także po polsku nie rozumie, odpowiedziała na to: »Papież jest nasz!«. Uczniom wyjaśniałem znaczenie »imprimatur« w podobny sposób.

Przewodniczący czyni uwagę, że dzieci, oraz Gadzińska prawdopodobnie go źle zrozumiały.

Na zapytanie adwokata Wolińskiego świadek potwierdza, że dzieci prosiły go pewnego razu w szkole, by im podał adres rządu, gdyż chciały zwrócić się do rządu o usunięcie wykładu religii w języku niemieckim. W samej rzeczy napisał on dzieciom adres na tablicy.

Prokurator: Czy jesteś pan Polakiem, czy Niemcem?

Koralewski: Jestem pochodzenia pol-

skiego, dziś jednak jestem Niemcem i uważam się za Niemca (ogólne poruszenie w sali sądowej). Żona moja jest Niemką i katoliczką.

Prokurator: Czemu byłeś pan tak znienawidzony we Wrześni?

Koralewski: Może o tem wiedzą lepiej proboszcz Łabędzki, wikary Laskowski i inni świadkowie, ja tego nie wiem.

Prokurator: Czy może z tego powodu, że obecnie jesteś pan Niemcem i że często otrzymywałeś pochwały za dobre rezultaty z wykładu niemieckiego?

Koralewski: Możliwe, że to z tego powodu; dość często otrzymywałem od rządu nagrody pieniężne za owocne krzewienie języka niemieckiego.

Na zapytanie adwokata Wolińskiego nadmienia Koralewski, że obecnie nie rozumie już dobrze po polsku.

Adwokat Dr. Dziembowski: Koralewski sądzi, że dzieci tak dobrze władają językiem niemieckim, że mogą z dobrym skutkiem słuchać wykładu religii w tym języku. Jak to jednak z tem pogodzić, że te dzieci szkolne, które tu występują w charakterze świadków, do niedawna wychowańcy szkoły wrzesińskiej, bardzo mało albo też prawie wcale nie umieją mówić po niemiecku.

Koralewski: (podniesionym i rozdrażnionym głosem). Te dzieci, które ukończyły pierwszą (najwyższą) klasę, umieją wszystkie bardzo dobrze

mówić po niemiecku. Jeżeli tu nie chcą przed sądem zeznawać po niemiecku, to jest to z ich strony bezczelność i podłość! (Wielkie poruszenie w sali sądowej).

Przewodniczący czyni uwagę, że świadek zapędził się trochę za daleko, gdyż nawet osobom dorosłym niekiedy jest trudno składać swe zeznania przed sądem w języku niemieckim i dlatego też on sam zawsze, ilekroć widzi, że dana osoba zupełnie dobrze nie włada językiem niemieckim, wydaje polecenie, by przesłuchanie, a w szczególności zaś przysięga odbywały się w języku polskim.

Adwokat Dr. Dziembowski: Byłem w swoim czasie już uczniem ober-secundy (u nas mniej więcej — szósta, siódma klasa)¹⁾, gdy wprowadzony został w gimnazyach wykład religii w języku niemieckim do sekundy i do primy, i przypominam sobie zupełnie dokładnie, jak mi było ciężko uczyć się religii po niemiecku.

Adwokat Woliński: Czy pan jako Polak-renegat i jako pedagog rzeczywiście jesteście tego zdania, że polskie dzieci z zupełnem zrozumieniem mogą śledzić wykład religii w języku niemieckim?

Koralewski: Tak jest, gdyż rozumieją one zupełnie dobrze po niemiecku.

¹⁾ Gimnazya niemieckie posiadają dziewięć klas, najniższa sexta, dalej quinta, quarta, unter-tertia i ober-tertia, unter- i ober-secunda, wreszcie unter- i ober-prima. (*Przyp. tłóm.*).

Adwokat Woliński: Czy do niedawna nie byłeś pan innego zdania w tej kwestyi?

Prokurator: Poprzednie zdanie świadka nie ma dziś żadnego znaczenia.

Adwokat Woliński: Przeciwnie, gdyż co do takich zasadniczych pytań nie zmienia się swego zdania z dnia na dzień. Zatem zapytuję pana, panie Koralewski, czyś pan niedawno nie mówił do proboszcza Kirschta, który jest Niemcem, że i pan jesteś jakoby tego zdania, że dzieci powinny uczyć się religii w rodzinnym języku?

Koralewski (po dłuższym namyśle): Nie przypominam sobie tego.

Adwokat Woliński: Czy dzieciom z III i IV klasy, gdzie religia wykładana jest jeszcze po polsku, nie kazałeś pan rano odmawiać modlitwy szkolnej w języku niemieckim?

Koralewski: Tak jest.

Adwokat Woliński: Czyś pan zmusił do tego dzieci wbrew ich woli?

Koralewski (po dłuższym namyśle): Przecież one same to zrobiły.

Adwokat Woliński: No, to widocznie już nie musiało być tak zupełnie dobrowolnie. A kto zarządził to, pan inspektor, czy rektor?

Koralewski (zwleka z odpowiedzią).

Prokurator zwraca mu na to uwagę, że może on przedtem prosić swego przełożonego, pana Wintera o przyzwolenie na udzielenie odpowiedzi na to pytanie.

Winter wyjaśnia po dłuższej pauzie podnie-

sionym głosem, że Koralewski może odpowiedzieć na pytanie.

Koralewski powstrzymuje się jeszcze od odpowiedzi i daje wymijającą odpowiedź, że dzieci już od dość dawna odmawiają w szkole poranną modlitwę po niemiecku.

Adwokat Woliński: Ależ panie Koralewski, przecież to nie jest odpowiedź na moje pytanie. Odpowiedź jest przecież tak łatwa. Czy zarządził to rektor, czy nie? Pytanie bardzo proste. Albo może nakazał to rząd?

Koralewski: Zarządził to rektor Foedtke.

Adwokat Woliński: Nareszcie dowiedzieliśmy się o tem.

Czyś pan w czasie konferencji nauczycielskiej w 1900 roku zajął się przygotowaniem dzieci, które zaledwie przez dwa miesiące uczęszczały do szkoły i czyś pan je następnie egzaminował z religii w języku niemieckim?

Koralewski: Tak jest, ale one też dawały wówczas odpowiedzi.

Adwokat Woliński: Czy podczas wykładów innych przedmiotów, na przykład podczas wykładu języka niemieckiego, dzieciom z klasy III i IV były zadawane do nauki kawałki, należące do wykładu religii, na przykład z historii biblijnej?

Koralewski: Tak jest, ale to było stosowane, jako część składowa wykładu języka niemieckiego i w tym właśnie celu.

Adwokat Woliński: To przyznanie jest

nader cennem, ja jednak poza tem jestem jeszcze tego zdania, że to odbywało się w tym celu, aby następnie podczas rewizyi, odbywanych przez radców szkolnych, można było pokazać rządowi, że dzieci zrobiły takie postępy w języku niemieckim, że obecnie bez dalszych kwestyi mogą korzystać z wykładu religii w języku niemieckim.

Przesłuchanie biegłych: lekarza wolno-praktykującego Dra Krzyżagórskiego i lekarza okręgowego Dra Michaelsohna z Wrześni.

Dr. Krzyżagórski: Już w początku maja badałem dzieci poddane chłości. Jeden z ojców chciał zwrócić się do rządu i żądał świadectwa. Stwierdziłem stan rzeczy i znalazłem pręgi w postaci sześciu siniaków na siedzeniu. Dnia 20 maja przyszło do mnie 12 do 15 dzieci do zbadania. Z tych wyodrębniłem czworo, którym wydałem świadectwo, iż względem nich prawo chłosty zostało przekroczone. Szczególnie chłopiec Jerszyński miał sześć do ośmiu sinych długości palca pręg na siedzeniu, nabiegłych krwią. Dziecko było fizycznie bardzo wzburzone i drżało jak w febrze. Troje innych dzieci miało mocne pręgi na rękach i na siedzeniu. Ręce były tak napuchnięte, że dzieci nie mogły ich zamknąć, ponieważ sprawiało im to silny ból.

Adwokat Dr. Dziembowski: Czy dzieci te były zdolne do pracy i uczęszczania do szkoły?

Dr. Krzyżagórski: Nakazałem sam, aby dzieci zostały w domu; jedno z dzieci z bólu nie mogło wcale siedzieć i musiało leżeć.

A dwokat Dr. Dziembowski: Była dziś o tem mowa, że dziecko oskarżonych małżonków Żołnierkiewiczów wskutek częstych i mocnych chłost w szkole już od dłuższego czasu się jęka. Czy jest to możliwe?

Dr. Krzyżagórski: Według najnowszych wyników medycyny jest to bardzo możliwe, mianowicie wtedy, gdy dziecko wskutek częstych chłost żyje w stanie ciągłej obawy.

Oskarżona Piasecka: Widziałam sama spuchnięte ręce Jerszyńskiego, po czterech dniach nawet były one jeszcze mocno obrzmiałe.

Prokurator: Każdy z biegłych powinien wypowiadać bezstronne swe przekonanie. Winien zatem każdy z nich zająć stanowisko zupełnie obiektywne względem przedmiotu obrad. Ponieważ sprawa ta jest zarazem polityczna, to proszę o zapytanie świadka, czy należy on do „partyi polskiej?”

A dwokat Tuerk: Protestuję przeciwko stawianiu podobnego pytania. Dr. Krzyżagórski został powołany jako biegły na wniosek urzędu prokuratorskiego, a nie obrony. Jak może sam pan prokurator poddawać w wątpliwość wiarogodność zeznań biegłego, którego sam powołał. Proszę o orzeczenie sądu w tej kwestyi.

A dwokat Dr. Dziembowski: Wobec podobnego postępowania przedstawiciela urzędu pro-

kuratorskiego obrona wyciągnie stąd właściwe konsekwencye dla postępowania przy badaniu dalszych świadków.

A d w o k a t W o l i ń s k i: Obrona postanowiła, o ile można, najmniej dotykać sfery polityki, lecz wobec metody urzędu oskarżenia będzie zmuszona obrona odstąpić od swego pierwotnego założenia. Przypuszczam, że pan prokurator przy swej bezstronności, na którą już niejednokrotnie kładł nacisk, postawi podobne pytanie inspektorowi okręgowemu i nauczycielom. Zresztą, co właściwie rozumie p. prokurator przez »partyę polską?»

P r o k u r a t o r: Jako »partyę polską« rozumiem tych, którzy pracują dla utrzymania ducha narodowego i poczucia narodowego, przez pielęgnowanie wspomnień o historycznej przeszłości Polski, a także dla zachowania zwyczajów narodowych, i wogóle tych, którzy działają dla sprawy polskiej.

A d w o k a t W o l i ń s k i: Więc po raz pierwszy dzisiaj nakoniec usłyszałem charakterystykę »partyi polskiej«. Ależ panie prokuratorze, to nie jest żadna partya, to o czem pan mówi, czynią przecież wszyscy Polacy, jako swój obowiązek i swoją powinność, jeśli wogóle chcą jeszcze liczyć cokolwiek na siebie. Wystarczy zatem, gdy pan zapyta Dra Krzyżagórskiego, czy jest Polakiem, a o tem przecież wie pan dobrze.

Sąd postanawia przyzwolić na pytanie prokuratora i dać również obronie możność zadawania podobnych pytań.

Dr. Krzyżagórski wyjaśnia, że jest Polakiem, lecz nie należy do żadnej szczególnej »partyi polskiej«.

Na specjalne pytania prokuratora odpowiada Dr. Krzyżagórski, że jest członkiem honorowym związku Sokołów, przed trzema laty był członkiem polskiego stowarzyszenia śpiewaczego, a również przewodniczącym związku przemysłowców.

Prokurator: Czy był pan przed trzema laty na zlocie Sokołów w Pradze Czeskiej?

Przewodniczący: Ależ panie prokuratorze. Pan, zdaje się, posuwa się za daleko.

Dr. Krzyżagórski wyjaśnia, że w owym czasie ze swoją rodziną odbywał wycieczkę do Saskiej Szwajcaryi, Drezna i Pragi, lecz w zlocie udziału nie brał.

Prokurator: Czy utrzymuje pan specjalne stosunki z wikarym Laskowskim?

Dr. Krzyżagórski: Tylko takie, jak z każdym wykształconym człowiekiem.

Potem następuje przesłuchanie Dra Michaelsohna. Wyjaśnia on, że w dniu 20 maja nie badał dzieci, nie może zatem wygłosić tu stanowczego orzeczenia. Prosi więc o dalsze wyjaśnienia, na przykład, jakim kijem i jak mocno bito dzieci, i jak silne były opuchnięcia palców?

Tego mianowicie kija, którym bito, nie było na sali, lecz inny kij, znacznie krótszy i cieńszy. Za pomocą tego pokazuje Winter, niezbyt mocno uderzając po własnej ręce, jak wtedy bito (śmiech w sali i wołania: silniej!).

Potem osoby, biorące udział w procesie i Dr. Krzyżagórski oglądają rękę Wintera.

Ten ostatni stwierdza, że czerwonawa pręga na ręce Wintera nie może iść w żadne porównanie z temi pręgami, które widział on u dzieci. Te ostatnie pręgi były szerokości środkowego palca u ręki, nabiegłe krwią i sine. O bólu, jaki te pręgi sprawiały, Winter nie może mieć wcale pojęcia.

Dr. Michaelsohn: Gdyby razy zadawane były taką laską, jaką tutaj przedstawiono i tylko z taką siłą, jak to uczynił tu Winter, to wtedy nie miałoby miejsca przekroczenie dozwolonego prawa chłosty. Jedynie przy bardzo delikatnej ręce mogłyby nastąpić takie obrażenia, o jakich nam tutaj mówiono.

Dr. Krzyżagórski zaznacza, iż ważnem jest, czy używany kij był dłuższy lub większy, elastyczniejszy lub bardziej sztywny; czy uderzenia zadawane były z większą siłą, czy też nie. Sam Winter tu powiedział, że kij, którym bito dzieci, był znacznie dłuższy, niż ten, który tutaj okazywano.

Winter: Więcej niż dwa razy dłuższy kij być nie mógł. (Powszechna weselość! Okazywany kij ma około $\frac{3}{4}$ metra długości).

Dr. Krzyżagórski: Zatem stwierdzam, że im dłuższy jest kij, tem boleśniejsze są uderzenia.

A dwokat Dr. Dziembowski: A jeżeli bijący uderza ze szczególną siłą i używa do tego

opisanego tylko co kija, to czy może tu mieć miejsce przekroczenie prawa chłosty?

Dr. Michaelsohn: Z pewnością.

Adwokat Dr. Dziembowski: Panie Krzyżagórski, czy badane przez pana dzieci były fizycznie normalne?

Prokurator pyta Dra Michaelsohna, czy Dr. Krzyżagórski raz podczas posiedzenia delegacji miejskiej nie mówił mu, że on w tej sprawie nie będzie wydawał żadnych świadectw.

Dr. Michaelsohn odpowiada, iż nie przypomina sobie tego, o ile zaś pamięta, to Dr. Krzyżagórski powiedział do niego tylko, iż oglądał wiele dzieci, które zostały silnie skatowane. Dnia 20 maja odbywały się oględziny dzieci, którym szczepiono ospę. Koralewski prosił mnie, abym chłopca Jerszyńskiego obejrzał później, dziecka jednak nie można było już znaleźć. Koralewskiego, który zdawał się być stropionym, uspokoiłem oświadczeniem, iż, o ile mi się zdaje, Dr. Krzyżagórski mówił mi, że nie będzie wydawał dzieciom żadnych świadectw.

Dr. Krzyżagórski kategorycznie zaprzecza, by kiedykolwiek mówił to do Dra Michaelsohna.

Adwokat Woliński: Czy Dr. Michaelsohn po wysłuchaniu sprawozdania z badania Dra Krzyżagórskiego zgadza się na to, że nastąpiło tu przekroczenie prawa chłosty?

Dr. Michaelsohn: Wogóle razy, zadawane podobnym kijem, przy zwykłej mierze uderzeń

nie mogą spowodować takich obrażeń. Jednak jako wyjątek jest to bardzo możliwe. Jeżeli dziecko rzeczywiście posiadało stwierdzone przez Dra Krzyżagórskiego obrażenia, wtedy uważam fakt przekroczenia prawa chłosty za dowiedziony.

Adwokat Dr. Dziembowski: Dr. Michaelsohn zna przecież Dra Krzyżagórskiego. Czy więc uważa wyniki ekspertyzy tegoż za trafne?

Dr. Michaelsohn wyraża życzenie nieodpowiadania na to pytanie, wobec czego adwokat Dr. Dziembowski pytanie cofa, prokurator jednak ze swej strony obstaje przy pytaniu i sąd oświadcza się za postawieniem tego pytania.

Dr. Michaelsohn oświadcza, że miał parę razy sposobność badać dzieci w celu stwierdzenia, czy mogą one iść do szkoły. Dzieci te, były do niego przyprowadzone przez inspektora okręgowego, któremu świadectwa Dra Krzyżagórskiego nie wydawały się trafne. Badanie tych dzieci doprowadzało go do wniosku, że, według jego zdania, przeważna liczba dzieci mogła uczęszczać do szkoły.

Adwokat Woliński: A więc panie doktorze Michaelsohn, chcesz pan przez to otwarcie tylko powiedzieć, że byłeś pan obiektywnie innego zdania, niż Dr. Krzyżagórski. Nic więcej nad to; nieprawdaż, panie doktorze?

Dr. Michaelsohn: Tak jest.

Na tem zakończono przesłuchanie obydwu lekarzy.

Wyjazd radcy prawnego Wagnera do Berlina.

Po załatwieniu koniecznych formalności okazało się, że wszystkie osoby, biorące udział w procesie, stawily się, oprócz radcy prawnego Wagnera, który jeszcze w pierwszym dniu procesu w nocy powrócił do Berlina i tem samem usunął się od udziału w procesie.

Przed rozpoczęciem rozpraw oznajmił inspektor szkolny okręgowy Winter, rzekomo ciężko obrażony przez prostą żonę murarza, Piasecką, współoskarżyciel w procesie, że jego obrońca radca prawny Wagner w porozumieniu z nim złożył obronę, bo uważa swoją obecność tu za zbyteczną.

Świadek, poseł do Rady państwa i deputowany, Józef Głębocki.

Znajdował się on pomiędzy mówcami (deputowany sejmku prałat Stychel i poseł do Rady państwa Dr. Dziembowski), którzy występowali 15 maja na wiecu ludowym we Wrześni.

Zaświadcza, że tak on, jak i inni mówcy, zachęcali lud do legalnej obrony przeciw doznanej niesprawiedliwości i radził, ażeby bronili swoich praw na drodze legalnej.

Czynili to właśnie ze względu na wielkie wzburzenie, jakie wywołało w całej prowincyi zniesienie nauki religii w języku polskim wśród ludności polskiej.

Nie może więc istnieć związek przyczynowy pomiędzy wiecem ludowym z dnia 15 maja a wypadkami z dnia 20 maja, ponieważ właśnie na tym wiecu ostrzegano poważnie lud przed każdym nielegalnym krokiem. Wypadki z d. 20 i 21 maja są właśnie dowodem, jak silnie skądinąd prowokowana była ludność, jeżeli pomimo wszelkich ostrzeżeń do zbiegowiska przyszło.

Prokurator zwraca uwagę, że już wezwania na wiecu do obrony, chociaż legalnej, przeciwko rozporządzeniom rządu, musiały lud podburzyć.

Świadek Głębocki: To jest zupełnie niemożliwe. Nikogo się nie podburza, jeżeli mu się doradza legalną opozycję przeciwko rozporządzeniom i środkom, uważanym za fałszywe, prawo legalnej, prawnej opozycji ma każdy obywatel, a my sobie tego prawa bynajmniej nie damy wydrzeć. To samo się odnosi do polityki germanizacyjnej rządu, przeciwko której musimy na każdym kroku walczyć. Jeżeli pobudzaliśmy przeciw tej polityce germanizacyjnej, to było to naszym słusznym prawem, ponieważ doradzaliśmy ściśle prawną i legalną opozycję i wyraziliśmy przekonanie, że rządowi nigdy się nie uda wynarodowienie polskiej ludności i, jako żywo, nigdy się to nie uda.

Obróńca Dr. Dziembowski dowodzi jako jeden z mówców na wiecu, że wszyscy mówcy wzywali ludność polską do legalnej obrony swoich praw i że jeden z nich wprost oświadczył,

że zejście z legalnej drogi obrony przeciw polityce germanizacyjnej, stanie się tylko wodą na młyn hakatystów.

Zeznania żandarmów.

Starszy wachmistrz Eichler, lat 49, narodowości niemieckiej, wyznania ewangelickiego, zeznaje, że, gdy przybył na widownię zdarzeń, ludzie na jego rozkaz się rozeszli; tylko sienie, bramy i okna domów przy ulicy Kościelnej były pełne ludzi. Ludzie krzyczeli: hura! gdy Winter i Koralewski wyszli na ulicę, zresztą nie tym ponom nie uczyniono. Całe popołudnie i przez noc patrolowali policyjanci i przez landrata wysłani żandarmi. Nie było jednak poważniejszych wystąpień, ludzie na jego, tj. świadka, żądanie szli spokojnie dalej. Nauczyciel Koralewski otrzymał wskutek własnego żądania opiekę policyjną.

Adwokat Woliński do Eichlera: Czy pan wogóle do tłumu trzykrotnie powtórzył swoje wezwanie do rozejścia się?

Świadek Eichler: *Nie, ponieważ ludzie nie robili wrażenia, iżby chcieli stawiać opór.* Tylko pojedyncze osoby wezwałem, aby szły dalej i te, które tego zaraz nie uczyniły, albo krzyczały, zanotowałem.

Pod tym względem obwinia on Piasecką, Korzeniowskiego, Pawlicką (którą wezwał po niemiecku, aby szła dalej, ta zaś tego nie zrozumiała), 13-letniego ucznia Antoniego Korzeniewskiego

(który siedział na parkanie szkolnym i coś wykrzykiwał), 15-letniego Aleksandra Wiśniewskiego, nareszcie oskarżonych: Stachowiaka i Stachowskiego.

Adwokat Woliński do Eichlera: Czy nie mówiłeś pan do ajenta Schwarza w Miłosławiu, że temu wszystkiemu winien nauczyciel Koralewski i że byłoby dla niego lepiej, gdyby zmienił miejsce pobytu, bo go ludność nienawidzi?

Eichler: Mówiłem tylko, że wskutek chłosty ludność przeciwko niemu jest wzburzona do tego stopnia, że w ciągu trzech dni jedynie pod ochroną żandarma i z rewolwerem w kieszeni mógł się pokazywać na ulicy. Sam radziłem mu, żeby prosił o przeniesienie.

Na dalsze pytania obrońcy Dziembowskiego zeznaje świadek Eichler, że dnia 21 maja przeważnie dzieci i to ewangelickie i żydowskie gromadziły się przed szkołą i że nienawiść ludności głównie była skierowana przeciwko nauczycielowi Koralewskiemu.

Żandarm Pfizerman obwinia oskarżonych: Sierakowskiego, młodą mężatkę Bednarowiczową, z domu Jerzykiewicz, Franciszka Korzeniewskiego, Zientka, Jarmużkiewicza, Balcerkiewicza i Dzieciuchowicza, z których jedni, zdaje mu się, krzyczeli, innych zaś daremnie nawoływał do rozejścia się.

Fakt wypowiedzenia przez oskarżonego rzeźnika Dzieciuchowicza bardzo dosadnej groźby w wyżej wymienionej formie potwierdza świadek.

Wogóle zeznaje świadek, tak jak jego zwierchnik, pierwszy wachmistrz Eichler, że wystąpienie tłumu groźnego charakteru nie miało, że tylko za każdym razem, jak się który z nauczycieli pokazał, tłum, składający się po większej części z kobiet i dzieci, krzyczał: »hura!« i »brawo!« i wybuchał ironicznym śmiechem, zresztą nauczycielom nie ubliżał.

Świadek, urzędnik policyjny Suszka, zeznaje, że z powodu wielkiego hałasu nie można było dosłyszeć okrzyków, wydawanych przez poszczególne osoby. W zbiegowisku brały udział głównie kobiety i dzieci.

Świadek wachmistrz Kozłowiec zeznaje wogóle tak, jak dotychczas przesłuchani żandarmini. Wie tylko więcej szczegółów. Gdy przybył do szkoły ze świadkiem Winterem i nieco później zbliżył się wraz z nim do drzwi szkolnych, spostrzegł w sieni przy drzwiach oskarżonych: Piasecką i Musielaka. Piasecka krzychała, jak mu się zdaje, zwracając się do nauczyciela Koralewskiego: »ty, psiakrew!« i podniosła coś z ziemi, jakby chciała tem rzucić. Wyprowadził wówczas oboje z sieni szkolnej, bez oporu z ich strony. — Oskarżonego Hähnela widział przy bramie szkolnej drżącego z oburzenia, oskarżonych Maciejewskiego i Antoniego Chojnackiego — w pobliżu szkoły, a oskarżoną Żołnierkiewicz tuż przy bramie. Świadek zeznaje dalej, że inspektor szkolny Winter kazał mu dobyć pałasza, czemu się świadek oparł, mówiąc, że nie ma do tego

prawa, ponieważ nikt nie napadł na urzędników szkolnych, ani na policję, ani też nie okazał ku temu zamiaru.

Wkońcu zeznaje Kozłowicz, że gdy wyszedł na ulicę, kobiety z płaczem wołały: »Dzieci nam katuja«, wobec czego świadek starał się uspakać kobiety i zwracał uwagę na to, że mogą zanieść skargę przeciwko chłóście dzieci.

Świadek wachmistrz Knappe obwinia oskarżoną Kantorczyk w myśl aktu oskarżenia, także i oskarżoną Piasecką, w której ręku widział kamień i słyszał, jak wołała: »psia krew« i »bijcie go«. Żeby zaś ludzie mieli kamieniami lub kijami rzucać w szkołę, tego ani nie słyszał, ani nie widział.

Oskarżone: Piasecka i Kantorczyk żywo protestują przeciw obciążającym je zeznaniom świadków.

Adwokat Woliński do Wintera: Dlaczego pan kazał wachmistrzowi Kozłowiczowi dobrać pałasza?

Winter: Uważałem położenie moje i nauczycieli za groźne i byłem przekonany, że miałem do tego prawo.

Adwokat Woliński: Wachmistrz Kozłowicz był jednak innego zdania!

Świadek, inspektor szkolny okręgowy Winter: Byłem wogóle tego zdania, że wachmistrz Kozłowicz nie wykonywał ściśle swoich czynności. Jego własna córka należała przecież do dzieci

szkolnych, które podczas niemieckiego wykładu religii nie odpowiadały na pytania nauczycieli.

Świadek chce usiąść.

A d w o k a t Dr. D z i e m b o w s k i: Przepraszam pana, po dłuższem przemówieniu, które pan wygłosił, pozwoli pan, że i my coś powiemy. Wielkie niebezpieczeństwo, które panu groziło, było bardzo niewielkie, jeżeli zwrócimy uwagę na to, że pan stał w sieni, jak w warowni, z tyłu ściana, po obu stronach wyciągnięci, jak struna i silni nauczyciele Koralewski i Schölzchen, a przed panem wachmistrz Kozłowicz (ogólny śmiech). Na ulicy później także nikt pana nie zaczepiał, więc niebezpieczeństwo nie było tak wielkie, ażeby pan musiał wołać, by dobyto pałaszy!

Świadek Dr. Winter (z sztucznym zapalaniem): Jako pruskiemu urzędnikowi, nie wolno mi cofać się przed niebezpieczeństwem, lecz należy stawić mu czoło (śmiech), mnie się zdawało, że mi istotnie grozi wielkie niebezpieczeństwo.

O b r o Ń c a T ü r c k wykazuje sprzeczność we wczorajszem i dzisiejszem zeznaniu świadka Wintera i przypomina, że wczoraj wprost dowodził, że nikt go na ulicy nie zaczepiał.

Przesłuchanie innych nauczycieli wrzesińskich.

A d w o k a t Dr. D z i e m b o w s k i: Jeżeli pan prokurator żądał, żeby wszyscy świadkowie

obrony, którzy wtedy znajdowali się na ulicy w pobliżu domu szkolnego, składali przysięgę dopiero po przesłuchaniu, gdyż uważa ich za niezupełnie wiarogodnych, więc i ja żądam, ażeby sąd zastosował ten sam środek przy przesłuchaniu nauczycieli, którzy w danych okolicznościach również nie są zupełnie wiarogodni, jako strona interesowana i mogą być podejrzani o przekroczenie prawa chłosty.

Prokurator sprzeciwia się temu.

Sąd oddala wniosek obrony.

Świadek oskarżenia Schölzchen, lat 35, katolik, zeznaje: W sobotę musiały dzieci za nieposłuszeństwo zostać w kozie. W poniedziałek dnia 20 maja znów nie chciały odpowiadać. Te, które w sobotę siedziały w kozie, a w poniedziałek znowuż były nieposłuszne, zaprowadzono do II-giej klasy, tu także nie chciały odpowiadać. Jedne z nich odpowiadały hardo, że wcale religii po niemiecku uczyć się nie będą. Te otrzymały z rozporządzenia inspektora szkolnego po 8 uderzeń po rękach, te, które były mniej harde, po 4, a jeszcze mniej harde po 2, wszystkie podług stopnia hardości. Karę tę wymierzył świadek na rozkaz inspektora szkolnego.

O dalszych zajściach i swym w nich udziale opowiada świadek zgodnie z aktem oskarżenia.

Prezydujący pokazuje trzecinę, która się znajduje w sądzie i pyta, czy to ta sama.

Świadek: Nie, tamta była równie gruba, ale dłuższa.

Prezydujący: Z jaką siłą pan uderzałeś?

Nauczyciel Schölzchen wymierza sobie dwa uderzenia trzcina po lewej ręce, bynajmniej nie mocno. Próba Schölzchena wzbudza ogólną wesołość w sali. Wołania: »jeszcze więcej« (znów wesołość).

Osoby, które wtargnęły do sieni szkolnej, giestykulowały rękami, lecz świadek nie może z pewnością powiedzieć, czy pomiędzy nimi byli: Piasecka i Musielak; jednak podobne osoby widział.

Adwokat Woliński: Czy dzieci były chłostane przed 20 maja?

Świadek: Dwa razy, za każdym razem dwoje dzieci; otrzymały one po dwa uderzenia, chłopcy po siedzeniu, dziewczęta po rękach.

Adwokat Woliński: Czy między nimi znajdowały się dzieci, chłostane w dniu 20 maja, mianowicie Jerszyński i Nowaczewska?

Świadek: Tak.

Adwokat Woliński: Czy uczeń Kałamański został przez świadka tak silnie uderzony w rękę, że duży palec u ręki został mu przecięty tak, iż skóra była zupełnie zdarta i trzeba było ranę obmywać karbolem?

Schölzchen: Kałamański był bardzo hardy i nie chciał się uczyć. Podczas uderzeń trzcina po siedzeniu musiał się chwycić zapewne za siedzenie i przy tej sposobności został silnie uderzony w rękę z wiadomym skutkiem. Sam świadek radził mu ranę obmyć karbolem.

Adwokat Woliński: Proszę o skonstataowanie nazwisk obitych dzieci.

Prezydujący żąda od Wintera, aby koniecznie sporządził taką listę.

Oskarżona Piasecka zaprzecza stanowczo temu, iżby mogła w tak krótkim czasie to wszystko na świadka powiedzieć, przypuszczalnie świadek słyszał to z ust osoby do niej podobnej.

Świadek oskarżenia nauczyciel August Wenzel, lat 27, katolik, od 3 lat we Wrześni. Widział wzburzenie ludności, przeszedł jednak przez tłum, gdyż on, równie jak nauczyciel Pohl, nie chciał uchodzić za tchórza. Słyszał, jak Dzieciuchowicz krzychał: »wieszać« albo »powiesić go na suchej gałęzi«. Jedna z kobiet krzychała do niego: »To jest największy kat naszych dzieci«. Wieczorem słyszał wymysły i rozmaite krzyki; przed jego mieszkaniem wygwizdywano mu dla szykany polskie pieśni. W tłumie były przeważnie kobiety i dzieci, były tam również dzieci żydowskie i niemieckie.

Adwokat Dr. Dziembowski stwierdza, że Wenzel przedtem Dzieciuchowicza wcale nie znał i że Dzieciuchowicz Wenzla także nie znał. Okazuje się również, że Wenzel bardzo niewiele rozumie po polsku.

Oskarżony Chojnacki oznajmia, jako sąsiad nauczyciela Wenzla, że tenże często w nocy powracał do domu zupełnie pijany.

Prezydujący: To panu zdarza się także dosyć często.

Oskarżony Chojnacki: Tak, ale gdy ja się wieczorem lub w nocy upiję, to następnego dnia nie mogę pracować, a nauczyciel ma wtedy z dobrym skutkiem dzieci uczyć! To przecież zupełnie niemożliwe! (poruszenie i wesołość w sali).

Świadek oskarżenia nauczyciel Nowicki, katolik, opowiada wogóle o znanych zajściach wrzesińskich i twierdzi następnie, że 6 osób krzychało na niego i nauczyciela Pohla: »Teraz idą do rzeźni«. Pomiedzy temi osobami znajdował się Jagodziński.

Oskarżony Jagodziński odpowiada wśród ogólnego śmiechu: Ale cóż znowu? Przecież nie mogłem wziąć nauczycieli za rzeźników!

Świadek nauczyciel Pohl całe zajście traktuje bardzo lekko i nie oskarża nikogo.

Pytania adwokata Wolińskiego zadane nauczycielowi Schölzchenowi.

Adwokat Woliński: Czy pan także udziela lekcyi religii?

Schölzchen: Tak.

Woliński: Czy pan starał się wpłynąć wprost na dzieci, ażeby się uczyły religii po niemiecku? A mianowicie, czy pan w tym kierunku objaśniał dzieci, że to wszystko jedno, w jakim języku się uczą religii?

Schölzchen: Tak, ja im to tłumaczyłem obrazowo, mianowicie tak: z religią to jest tak,

jak z mlekiem, wszystko jedno, z jakiego naczynia się pije: ze szklanki, czy z filiżanki, mleko mlekiem zostanie (ogólny śmiech).

Adwokat Woliński: Dalej powiedziałeś pan dzieciom, że np. klerycy w syminaryum uczą się religii w cudzoziemskim języku, mianowicie w łacińskim?

Schölzchen: Tak.

Adwokat Woliński: Czy nie opowiadałeś pan również dzieciom, że papież także nie mówi po polsku, a jednak jest katolikiem.

Schölzchen: I to przyznaję.

Adwokat Woliński: Czy w III i IV klasie, gdzie nauka religii jest udzielana po polsku, dzieci odmawiały modlitwę poranną po niemiecku?

Schölzchen: Tak, na zmianę: raz po polsku, raz po niemiecku.

Pytania zadane nauczycielowi Pohlowi.

Adwokat Woliński: Czy pan powiedział do buchaltera Smolikowskiego we Wrześni: dziwię się, że polskie gazety tak spokojnie przyjmują fałszywe opisy niemieckich gazet o zajściach z dnia 20 maja. Tak źle to wszystko nie wyglądało.

Pohl: Nie przypominam sobie tego.

Adwokat Woliński: Czyś pan nie mówił do agenta Szwarca we Wrześni: Nie biorę tego ani dzieciom, ani rodzicom za złe, powinno im być wolno uczyć się religii w języku, jaki rozu-

mieją. I jabym się na to nie zgodził, żeby moje dzieci, które są Niemcami, uczyły się religii po polsku.

Pohl: I tego sobie już nie przypominam.

Adwokat Woliński: Czyś pan podczas zbiegowiska 20 maja nie częstował rozmaitych ludzi w knajpie piwem i wódką, potem nie wołał: »Idźcie na ulicę i wołajcie także: hura! Ja się nie boję, mnie nikt nic nie robi. Niech Koralewskiemu nogi połamią, ten mi także dosyć dokuczył!« ?

Pohl: Może być, ale sobie tego już nie przypominam.

Potem wnosi adwokat Woliński, ażeby telegraficznie wezwano buchaltera Smolikowskiego i ajenta Szwarca, ponieważ bardzo ważnem jest ustalenie faktu, iż podczas gdy Winter, Koralewski i Schölzchen mówili o wielkiem niebezpieczeństwie, w jakim znajdowali się nauczyciele, Pohl, który wraz z nimi opuścił szkołę, zupełnie spokojnie poszedł do knajpy, tu częstował ludzi wódką i kazał im ostatecznie wołać: »hura!« Zatem położenie nie było tak niebezpieczne, jeżeli jeden z nauczycieli był usposobiony tak wesoło i całe zajście brał ze strony komicznej.

Prokurator zapytuje świadka, czy nie może przypuścić, że to wszystko powiedział, będąc w stanie podniecenia?

Pohl przyznaje, że owego dnia był pijany.

Prokurator wnosi wobec tego, ażeby wnioski obrony odrzucić.

Sąd przychyła się do wniosku prokuratora

i ustala fakt, że Pohl w podchmielonym stanie mógł to wszystko powiedzieć.

**Badanie żony posługacza szkolnego z Wrześni,
Gadzińskiej.**

Świadek opowiada:

Mój syn przyniósł raz niemiecki katechizm do domu, który później zwrócił nauczycielowi, tak jak i inne dzieci zrobiły. Nauczyciel Koralewski pociągnął mnie do tłumaczenia i zapytał: Dlaczego wasz syn nie chce się uczyć z niemieckiego katechizmu? Przecież i ten jest podpisany przez arcybiskupa; — a ja mu na to odpowiedziałam:

To nie może być, ażeby arcybiskup na to pozwolił, żeby nasze dzieci uczyły się religii po niemiecku (tu wybucha świadek głośnem łkaniem, co wywiera wielkie wrażenie w sali sądowej).

Gdy się świadek uspokoił, ciągnie dalej:

Koralewski mi na to odpowiedział: to przecież wszystko jedno, moja żona Niemka i katoliczka, chodzi do polskiego kościoła i kocha Pana Boga, jak i wy. Ja na to odpowiedziałam, że jednak uważam za niemożliwe, ażeby arcybiskup na to pozwolił.

Koralewski poszedł potem do domu, przyniósł niemiecki katechizm i pokazał mi na tymże pieczęć z imieniem arcybiskupa. To mnie tak wzruszyło i boleśnie dotknęło, że zaczęłam płakać. Próbował mnie przekonać, mówiąc, że papież także

po polsku nie rozumie i jest katolikiem. Ja mu odpowiedziałam na to, że to nie może być, bo nasze duchowieństwo mówi dobrze po niemiecku, chociaż jest polskie. To papież także pewno rozumie po polsku. Koralewski powiedział mi na koniec jeszcze, że niemiecki katechizm od dziesięciu lat jest wprowadzony.

Przewodniczący: Dlaczego was serce tak boli, że wasz syn ma się uczyć religii po niemiecku? Czy to nie wszystko jedno?

Gadzińska: O nie, bo dzieci nie rozumieją religii w języku niemieckim, jak się przekonałam na własnych dzieciach.

Religia dla nas, biedaków, jest całą radością, całem naszym szczęściem, naszym bogactwem, naszym wszystkim, całą naszą nadzieją lepszej przyszłości.

Gdy przedtem uczono religii po polsku, wówczas wiedziałam, czego się moje dzieci uczą, i to było dla mnie najwyższą radością, gdy wieczorem mogłam powtarzać ze swemi dziećmi to, co im wykładano w szkole z katechizmu i z historii biblijnej. Serce moje przepełnione było radością, gdyż dzieci rozumiały to bardzo dobrze, i ja również, a dziś ani ja, ani dzieci nic z tego nie rozumiemy.

Tu świadek wybucha znów głośnem łkaniem, co wywołuje ogólne poruszenie w sali sądowej.

Przewodniczący: Lecz jeżeli dzieci rozumieją po niemiecku?

Gadzińska: Mam syna, który się w szkole

dobrze uczył i dobrze język niemiecki posiada, a jednak nie rozumie dobrze sześciu prawd wiary po niemiecku.

To wielka różnica, czy dzieci uczą się religii po polsku, czy po niemiecku. Nawet księdzu, choć jest on człowiekiem wykształconym, trudno jest wyklądać religię w języku niemieckim, a cóż dopiero można mówić o dziecku! Panu Bogu może być miłą tylko taka religia, w jakiej się człowiek urodził i jaką od dzieciństwa uczył się wyznawać.

Przewodniczący: A w jakim języku mówił Jezus Chrystus?

Gadzińska: Zapewne także po polsku.

Przewodniczący: A w jakim języku przemawiał Jezus Chrystus do Swej Matki?

Gadzińska: Zapewne przemawiał do niej w takim języku, w jakim ona mówiła do niego. (Wesołość).

Adwokat Dr. Dziembowski: Uważam za właściwe podnieść, że Chrystus również nie mówił po łacinie, zatem również nie używał łacińskiego »języka urzędowego«, ale mówił po chaldejsku. Jednakowoż proszę jeszcze zapytać świadka, czy jest mu wiadomem, że podczas zesłania Ducha Świętego Chrystus rzekł do apostołów: »Idźcie i nauczajcie wszystkie narody«, i wówczas apostołowie, którzy mówili tylko po żydowsku, natychmiast otrzymali cudowny dar mówienia językami wszystkich narodów.

Gadzińska potwierdza, że jest to jej wiadomem.

Adwokat Woliński: Czy świadkowi wiadomo, że nauczyciele często pijani przychodzili do szkoły i kazali sobie uczniom przynosić wódkę do szkoły, lub że w pokoju nauczycielskim kazali sobie grog przyrządzać?

Gadzińska: Tylko raz Pohl przyniósł z sobą butelkę, którą czuć było arakiem. Kazał mi przynieść gorącej wody do pokoju nauczycielskiego, co też zrobiłam. Potem przyszli nauczyciele Wenzel, Nowicki i Koralewski. Zresztą im wódki nie przynosiłam i nie wiem, czy kiedy pijani do szkoły przychodzili.

Wniosek adwokata Wolińskiego, dotyczący kwestyi nauczania religii w szkołach ludowych podług zasad Kościoła katolickiego.

Adwokat Woliński: Podczas rozpraw poruszono kwestyę, czy podług zasad Kościoła katolickiego w szkołach ludowych nauka religii może być wykładana uczniom w obcym im języku, a nie w ich języku ojczystym, chociażby nawet dzieci posiadały w pewnym stopniu ten obcy język, i czy arcybiskup Stablewski zgodził się na udzielanie polskim dzieciom nauki religii w języku niemieckim i ewentualnie, czy o tem można sądzić po „imprimatur“, znajdującem się na drukowanych do użytku dycezyi katechizmach w języku niemieckim?

Ażeby usunąć wszelką w tym względzie wąt-

pliwość, stwierdzam niniejszem z jak najsilniejszym naciskiem, że Kościół katolicki nigdy i nigdzie nie aprobuje udzielania nauki religii w szkołach ludowych w obcym języku; że to się sprzeciwia podstawowym zasadom Kościoła katolickiego; że w szczególności arcybiskup Stablewski nie udzielił swego przyzwolenia na wprowadzenie nauki religii dla polskich dzieci w języku niemieckim, że przeciwnie, stosownie do zasad Kościoła katolickiego, potępia on to, i że nie można na zasadzie »imprimatur« wyprowadzać podobnych wniosków.

Co się tyczy pierwszej zasadniczej kwestyi, to powołuję się na obecnego tu z polecenia arcybiskupa kanonika Kreczmara; co do drugiej kwestyi, wnoszę o odczytanie listu, który wystosował arcybiskup do p. prezydującego i w którym protestuje przeciwko podobnemu przypuszczeniu, tłómacząc zarazem znaczenie »Imprimatur«.

Prokurator wnosi, ażeby odrzucić żądania dowodów obrońcy, ponieważ te nie stoją w bezpośrednim związku z winą oskarżonych, ale co do listu arcybiskupa, to przyznaje, że zawiera on rzeczywiście przytoczoną przez obrońcę treść.

Dalej oświadcza prokurator, że jest również katolikiem i wie, że niema takiego dogmatu w Kościele katolickim i że tylko w naszych dyecezyach władze kościelne wyłącznie ze względu na dzieci narodowości polskiej wprowadziły podobną praktykę przy udzielaniu nauki religii.

Adwokat Woliński oznajmia, że wobec takiego oświadczenia pana prokuratora on tem usil-

niej obsta je przy swym wniosku, gdyż widzi, że nawet tak wysocy dygnitarze sądowi mają tak z gruntu fałszywe pojęcia w tej sprawie.

Fakty, o których ustalenie wnosi obrona, stoją w bezpośrednim związku z kwestyą szkolną. Ponieważ oskarżeni, jako prawowici katolicy, wiedzą, że Kościół i zwierzchność potępiają stanowczo udzielanie nauki religii w szkołach ludowych w obcym języku, to trzeba przypuścić, że, opierając się podobnym rozporządzeniom władz państwowych, nie mieli oni świadomości bezprawnego postępowania przy braniu udziału w opozycji, a conajmniej zaś ustalenie tych faktów miałoby wielką wagę przy wymiarze kar.

Jako dowód, iż nie tylko, jak zupełnie fałszywie mniema prokurator, zwierzchność kościelna w naszych dycezyach, ale cały niemiecki episkopat obsta je przy wyżej wspomnianej zasadzie, składam list pasterski zmarłego księcia-biskupa wrocławskiego Förstera z dnia 6 kwietnia 1873 roku, w którym ten wyraźnie mówi, że nauka religii, wykładana polskim dzieciom w języku niemieckim, pozostaje bez wszelkiego wpływu na umysł i serca dzieci, jako niezrozumiała i że w podobnym wypadku młodzież wzrastałaby bez błogosławionego wpływu religii. I dlatego też arcypasterz wydaje rozporządzenie, by duchowieństwo dzieciom narodowości polskiej udzielało wykładu religii w języku polskim.

Sąd po dłuższej naradzie odrzuca wnioski obrońcy na tej zasadzie że przewodniczący już

sam stwierdził, że rzeczywiście otrzymał list od arcybiskupa, którego treść przytoczył obrońca, a pytanie, jakiej zasady się trzyma Kościół katolicki przy udzielaniu nauki religii, nie stoi w bezpośrednim związku z czynami karnymi podsądnych.

Badanie proboszcza Łabędzkiego z Wrześni.

Proboszcz Łabędzki był badany wskutek zeznań 13-letniego ucznia Michała Bączkiewicza i obu ucznie Dzieciuchowiczównych. Podług zeznań inspektora okręgowego Wintera i nauczyciela Koralewskiego, dzieci te powiedziały przy badaniu wstępnem, że im mówił wikary Laskowski, ażeby nie odpowiadały podczas wykładu religii po niemiecku; potem odwołały to zeznanie obie dziewczynki. Podług zeznań Wintera, Bączkiewicz, który jeszcze w dniu 18 maja okazał gotowość odpowiadania w języku niemieckim, 20 maja oznajmił, że nie uczyni tego, ponieważ ostatniej soboty — 19 maja — wikary Laskowski zabronił mu tego przy spowiedzi. Obecnie przed sądem dzieci kategorycznie zaprzeczają, żeby im to mówił kiedykolwiek wikary Laskowski i że przed inspektorem szkolnym i nauczycielem zeznały nieprawdę z obawy kary.

Adwokat Dr. Dziembowski stwierdza na podstawie zeznań Bączkiewicza, że tenże był ostatni raz u spowiedzi przed 20 maja, na Wielkanoc, a więc jeżeli powiedział do Wintera i Koralew-

skiego, że mu wikary na ostatniej spowiedzi w dniu 19 maja dał takie polecenie, to była to oczywista nieprawda.

Proboszcz Łabędzki wobec tego oświadcza, że jako bezpośredni zwierzchnik wikarego Laskowskiego, uważał sobie za obowiązek zbadać dzieci. Przytem wziął się do dzieła z całą ostrożnością i powagą. Obie dziewczynki Dzieciuchowiczówny przesłuchał w obecności dwóch poważnych obywateli wrzesińskich: Franciszka Kaczorowskiego i Ludwika Nowakowskiego, Bączkiewicza zaś w obecności proboszcza Poturalskiego z Winnogóry. Dzieci kilkakrotnie i w sposób wzbudzający zaufanie zeznały, że przed Winterem i Koralewskim powiedziały nieprawdę tylko ze strachu. Przy tem twierdzeniu pozostały pomimo najusilniejszych napomnień, żeby wyznały prawdę, chociażby ta prawda była skierowana przeciwko wikaremu Laskowskiemu.

Prokurator pyta świadka, czy to prawda, że w ostatni wtorek rozdzielono na probostwie pieniądze pomiędzy oskarżonych i świadków na drogę i pobyt w Gnieźnie?

Świadek potwierdza to z nadmienieniem, że dawał z własnej kieszeni tym, którzy nie mieli na drogę, ale nie wszystkim.

Prokurator: Czy i wikary Laskowski także dawał tym ludziom pieniądze?

Świadek: Nie.

Adwokat Woliński: Jak dawno świadek proboszcz jest we Wrześni?

Świadek: 10 lat.

Adwokat Woliński: A więc musi pan znać doskonale stosunki we Wrześni. Czy panu wiadomo, że przy przygotowaniu do spowiedzi i komunii dzieci z I i II klasy nie umieją odpowiadać z religii na najprostsze pytania?

Świadek: Naturalnie, nauka religii była dla nich trudna, gdy je uczono po polsku; jest ona tem trudniejsza, gdy wykładana jest po niemiecku.

Adwokat Woliński: Czy jest to zasada Kościoła katolickiego, ażeby naukę religii wykładano w szkołach ludowych w języku ojczystym?

Świadek: Ja utrzymuję, że tak, bo nauka religii nie jest rzeczą rozumu, pamięci, lecz serca i duszy. Właściwie stanowczej odpowiedzi na to pytanie może udzielić jedynie władza kościelna.

Badanie wikarego Laskowskiego.

Na zapytanie przewodniczącego świadek ze-
znaje:

Gdy rozpoczęto w szkole wrześnińskiej dzieciom polskim udzielać wykładu religii katolickiej po niemiecku, natychmiast pomyślałem sobie, że dzieci i rodzice będą dopytywali się, co mają czytać. Doradzać tego nie mogłem, ponieważ nie zgadzało się to ze stanowiskiem i pojęciami kapłana katolickiego, odradzać zaś nie mogłem również, ponieważ nie chciałem zatargu z władzą świecką.

Dlatego też, gdy zjawiły się dzieci, prosząc mnie o radę, powiedziałem im: Moje kochane dzieci, proście nauczyciela Koralewskiego, — który wtenczas zastępował rektora — ażeby się wstawił za wami do rządu, żeby przywrócono naukę religii w języku polskim. Gdy obie dziewczynki Dzieciuchowiczówny nie stawiały się na następnej lekcji śpiewu kościelnego, prowadzonego przezemnie, powiadomiły mnie inne dzieci, że one powiedziały o mnie przed inspektorem i Koralewskim nieprawdę, jakobym im powiedział, że na lekcji religii mają wcale nie odpowiadać. Nie bardzo się temu dziwiłem, gdyż jest mi wiadomem, że takie małe dzieci z obawy kary często mówią nieprawdę. Gdy dzieci znów do mnie przyszły i pytały mnie, co mają czynić z niemieckimi katechizmami, które im podarowano, powiedziałem, że już im żadnej rady nie dam, skoro mówią nieprawdę przed nauczycielem lub inspektorem.

Adwokat Woliński: Proszę świadka, ażeby zechciał powiedzieć, jaki był stosunek jego do katolików Niemców w Wieleniu, gdzie poprzednio sprawował obowiązki, a jaki jest obecnie w Wrześni, przedewszystkiem zaś, czy nie zakładał on dla Niemców-katolików specjalnych niemieckich bibliotek, których poprzednio nie było?

Ks. Laskowski: W obydwu miejscowościach mój stosunek do niemieckich katolików był bardzo dobry. Szczególniej dzieci okazywały mi zawsze wiele przywiązania. Z niektórymi rodzinami niemiecko-katolickimi w Wieleniu utrzymuje

dotychczas ożywioną, serdeczną korespondencyę. W Wieleniu założyłem głównie z mych własnych środków dla niemieckich katolików bibliotekę, której tam przedtem nie było, tak samo w Wrzesni. Czyniłem to, gdyż jako ksiądz katolicki, zarówno kocham dzieci polskie, jak i niemieckie, bo chcę być równie sprawiedliwym, tak dla jednych, jak i dla drugich.

Na odpowiednie pytanie przewodniczącego odpowiada świadek, że 20 maja jeszcze przed godziną 3-cią po południu nawoływał ludzi na ulicach do spokoju.

Adwokat Woliński: Czy ksiądz zauważył przy przygotowaniu do spowiedzi, że uczniowie wyższych klas zdradzają niedostateczne wiadomości z religii, tak iż stąd trzeba było wnioskować, że szkoła w tym kierunku nie spełnia należycie swego zadania?

Ks. Laskowski: Zrobiłem to spostrzeżenie.

Prokurator: Czy był ksiądz karany za udzielanie lekeyi prywatnych po polsku?

Ks. Laskowski: Tak jest, w Wieleniu.

Adwokat Woliński: Proszę, ażeby świadek bliżej tę rzecz wyjaśnił.

Ks. Laskowski: Rodzice przyszli do mnie, gdy zniesiono wykład języka polskiego, prosząc, ażebym prywatnie uczył ich dzieci po polsku. Początkowo odmówiłem tego, ale gdy dzieci same do mnie przyszły i prosiły o to usilnie, było mi zbyt ciężko tej idealnej prośbie odmówić i przyrzekłem im. Rozumiałem, że uczynię dla tych dzieci

coś dobrego, bo będę je kształcił w jakimś kierunku, nie uważałem zaś tego za coś zakazanego lub bezprawnego.

Nie znam przepisu prawnego, któryby zakazywał uczenia dzieci bezinteresownie jakiegoś przedmiotu naukowego. Moje nauczanie nie ma nic wspólnego z pojęciem szkoły prywatnej, bo tu nie chodzi o naukę zawodową lub rzemiosło. Gdyby mnie dzieci prosiły, udzielałbym lekcji w każdym innym języku, łaciny a także niemieckiego, i nie widziałbym w tym nic karygodnego. Landrat naturalnie zabronił mi pod groźbą znacznej kary pieniężnej dalszych wykładów prywatnych w języku polskim. Ponieważ uważałem to za niesłuszne, więc uczyłem w dalszym ciągu. Zaś przeciwko rozporządzeniom landrata przedsięwziąłem odpowiednie kroki prawne do władz miejscowych okręgowych i prowincjonalnych, wreszcie do ministra. Wszystkie instancje uznały się za niekompetentne do zniesienia tego rozporządzenia. Tym sposobem wymierzona kara została ze mnie ściągnięta i musiałem dalszej nauki zaprzestać.

Adwokat Woliński: Czy ksiądz kiedykolwiek zauważył na dzieciach ślady chłosty cielesnej?

Ks. wikary Laskowski: Niejednokrotnie, nawet teraz przed kilkoma dniami widziałem dzieczynkę, która w półtora tygodnia po chłoscie miała jeszcze na jednej ręce dwie grube nabiegłe krwią ciemno-sine pręgi.

Ostatniego dnia obrad zadano ks. Laskowskiemu jeszcze następujące pytania, na które odpowiadał, jak niżej:

Adwokat Woliński: Czy ksiądz przygotowywał do spowiedzi i komunii niemieckie dzieci po niemiecku?

Ks. Laskowski: Tak jest.

Adwokat Woliński: Czy podług pańskiego zdania i doświadczenia mogą dzieci z korzyścią słuchać wykładu religii nie w swym rodzinnym języku, lecz w obcym?

Ks. Laskowski: Bezwarunkowo nie, również jak uważam za niepodobieństwo wykładanie niemieckim dzieciom religii po polsku, chociażby dosyć dobrze znały ten język, tak samo rzecz się ma i względem dzieci polskich. Według moich pojęć jest to niezgodne z zasadami Kościoła katolickiego i Pisma Świętego. Według nauki Chrystusa apostołowie powinni byli głosić wiarę ludom w języku ojczystym tychże i dlatego otrzymali od Ducha Świętego dar mówienia wszystkimi językami.

Prokurator: Czy to prawda, że ksiądz pisał do proboszcza ks. prałata Kuleszy w Miłosławiu z zapytaniem, dlaczego w tamtejszej szkole nie opierają się tak energicznie przeciwko wykładowi religii po niemiecku, jak w Wrześni?

Ks. Laskowski: Rzecz miała się inaczej. Nauczyciel Koralewski opowiadał w Wrześni, że prałat Kulesza radzi ludziom w Miłosławiu, »ażeby się nagięli do konieczności i pozwolili dzieciom

uczyć się religii po niemiecku. To wywołało wielkie oburzenie, jak może ksiądz katolicki coś podobnego radzić. Dlatego zwróciłem się listownie do księdza prałata Kuleszy, prosząc o wyjaśnienie tej sprawy.

Prokurator: Jak ksiądz mógł, jako młody wikary, robić co do tego wymówki sędziwemu księdzu i do tego przyjacielowi arcybiskupa?

Ks. Laskowski: To nie były wymówki, tylko prośba o wyjaśnienie rzeczy.

Prokurator: Czy ksiądz udziela jeszcze i teraz w Wrześni nauki prywatnej po polsku?

Ks. Laskowski: Nie.

Badanie landrata barona von Mossenbacha z Wrześni.

Po przesłuchaniu świadków prokurator stawia wniosek, ażeby przesłuchać jako świadka landrata barona von Mossenbacha, który z urzędu brał udział w procesie wrześnińskim.

Obrona chętnie zgadza się na to.

Świadek baron von Mossenbach zeznaje, że o wypadkach z 20-go maja dowiedział się dopiero w swoim mieszkaniu od inspektora szkolnego Wintera, który przyszedł do niego z tą wiadomością i z prośbą o opiekę. Świadek natychmiast posłał żandarmów do szkoły i wypytywał Wintera o bliższe szczegóły. Dopiero więcej wagi do tego zajścia zaczął przywiązywać, gdy się dowie-

dział od Wintera, że piekarz Śmidowicz zwrócił jego uwagę na to, iż lud przed szkołą może wywołać zaburzenia. Potem świadek wraz z Winterem udał się do szkoły. Zobaczył tam wielkie zbiegowisko i słyszał wielki hałas. Tłum składał się przeważnie z kobiet i dzieci, dorosłych ludzi było mało na ulicy. Ci stali przeważnie w oknach, sieniach i tuż pod domami. Ludzie byli widocznie bardzo wzburzeni i giestykulowali gorąco. W takim stanie świadek nigdy ich dawniej nie widział. Ludzie z Wrześni przedtem mu się zawsze kłaniali, tym razem tego nie uczynili. Świadek doznał wtenczas uczucia, jak gdyby ludzie tak byli wzburzeni, że gdyby kazał on siłą ulicę oczyścić, to dość byłoby najdrobniejszej okoliczności, aby wywołać powstanie lub bunt i spowodować rozlew krwi. Dlatego świadek uważał za właściwe nie występować prowokująco, w tym duchu brzmiały rozkazy, wydane przezeń żandarmom.

Na pytanie adwokata Wolińskiego stwierdza świadek, że nikt z tłumu nie napadł na niego i nikt względem niego nie zachował się hardo; świadek przyznaje, że w raporcie o wypadkach wrzesińskich, który złożył władzom poznańskim, odmalował sprawozdania rozmaitych gazet, jako mocno przesadzone.

Prokurator pyta świadka, co sądzi o piekarzu Śmidowiczu?

Baron von Mossenbach oświadcza, że go uważa za człowieka skłonnego do przesady. Przychodził on często do świadka i przedstawiał mu

rozmaite plany co do nauki religii. Świadek zawsze go zbywał uwagą, że szkoła nie należy do sfery jego działalności.

Adwokat Dziembowski: Sądzę, że trzeba to wysoko cenić w Śmidowiczu, że jako obywatel tak gorąco brał do serca sprawę ogółu i że z jego strony był to bardzo lojalny sposób postępowania, jeżeli on się udał z całym zaufaniem wprost do landrata, jak do ojca powiatu, ze swojemi uwagami i radami w tak przykłej sprawie zniesienia języka polskiego przy nauce religii.

Na dalsze pytanie obrońcy przyznaje świadek baron von Mossenbach, że przyczyną zbiegowiska mogła być chłosta dzieci, a na pytanie, czy taktowne postępowanie ze strony urzędników mogło zapobiedz gorszym następstwom, oświadcza świadek wymijająco, że nie możnaby było ulicy siłą oczyścić, bo w takim razie doszłoby do rozlewu krwi.

Na zapytanie adwokata Türka zeznaje świadek, że początkowo rzeczywiście żądał tylko kary za »nieprzystojne zachowanie się« (grober Unfug) dla rozmaitych osób, zanotowanych przez żandarmów i obecnie siedzących na ławie oskarżonych.

Obrońca Türk ustala, że początkowo nie było wcale mowy o »zakłóceniu spokoju publicznego« i »zbiegowisku«.

Przygnębiająca scena.

Badanie świadków skończone. Sprawa ma być odroczone na trzy dni z powodu czynności sądowych.

Adwokat Woliński wnosi, ażeby główną oskarżoną Piasecką na te trzy dni uwolnić z więzienia, po pierwsze ze względu na stwierdzony przez dra Krzyżagórskiego w pierwszym dniu procesu nader niebezpieczny stan zdrowia (Piaseckiej groził krwotok żołądkowy), powtórę ze względu na jej pięcioro drobnych dzieci, pozostawionych bez opieki, i 86-letnią matkę. Obrońca zapewnia w imieniu Piaseckiej, że ta nie ucieknie. Kara, którą będzie musiała odcierpieć, nie może być tak wielką, żeby dlatego miała porzucić pięcioro dzieci i staruszkę matkę.

Piasecka przyrzeka jeszcze osobiście, że sama się stawi.

Prokurator pozostaje nieubłagany. Oznajmia on, że Piasecka jest najbardziej obciążoną z oskarżonych w tym procesie, że była ona właściwą przywódczynią i że czeka ją prawdopodobnie ciężka kara, że mogłaby tedy z obawy przed tą karą umknąć. Jak się zaś okazało przy badaniu sądowo-lekarskiem, to wcale nie jest tak źle z jej zdrowiem. Krwotoku żołądka wcale u niej nie skonstatowano. Zdaje się, że ona udaje. Dla swoich dzieci w domu we Wrześni ma dostateczną opiekę w swojej matce.



N. PIASECKA W OTOCZENIU RODZINY

Sąd postanawia oskarżonej nie uwalniać. Ta wybucha płaczem (Piasecka istotnie dostała w więzieniu w trzy dni potem krwotoku żołądka).

Wszyscy w sali zdumieni są surową decyzją sądu, którą ogólnie uważają jako przepowiednię bardzo surowego wyroku na wszystkich oskarżonych, co się też w zupełności sprawdziło.

II

MOWY PROKURATORA I OBRONCÓW

ORAZ WYROK.

Sąd postanowił oskarżonej nie uwolnić. Ta
 wypucha płaczem (Piaszka istotnie dostała w wię-
 zieniu w trzy dni potem krwotoku żołądka).
 Wszyscy w sali zdumieni są surową decyzją
 sądu, która ogólnie uważają jako odpowiednią
 bardzo surowego wyroku na wszystkich oskarżo-
 nych, co się też w zupełności sprawdziło.

Mowa prokuratora.

II.

MOWY PROKURATORA I OBROŃCÓW ORAZ WYROK.

II

MOWY PROKURATORA I OBRONCÓW
ORAZ WYROK

Mowa prokuratora.

Prokurator Langer: Zasadniczą cechą charakterystyczną obecnego procesu stanowi antagonizm, który istnieje w prowincyi poznańskiej pomiędzy Niemcami a Polakami, i naprężenie, które się rozwija pomiędzy żywiołem niemieckim i polskim i coraz więcej się potęguje przez walkę w prasie, zgromadzenia i inne okoliczności. Ta walka stała się ostatecznie tak żywą, że rząd musiał stanąć po jednej stronie — a to w wyraźnym celu, ażeby bronić niemieczyzny, a wypierać polskość. Jednym właśnie z środków obronnych jest udzielanie nauki religii w wyższych oddziałach szkół ludowych w języku niemieckim; wydano zaś to rozporządzenie ze względu na okoliczność, że dzieci te uczyły się już po niemiecku innych przedmiotów. Przeciwno tym środkom powstaje najżywsze przeciwdziałanie partyi polskiej, albo, jak mówią obrońcy, Polaków, i ten opór stale się ujawnia na polskich zebraniach, w prasie polskiej, na wszelkiego rodzaju obradach i t. p.

Jako następstwo tej agitacyi wkrótce powstał gorący opór przeciwko wykładom religii w języku niemieckim wśród ludu polskiego, a także w szkołach. To samo pokazało się w Wrześni. Dzieci nie odpowiadały na pytania, zadawane im po niemiecku i nie podnosiły palca do góry, nawet ostentacyjnie odmówiły przyjęcia podręczników niemieckich do nauki religii, które im miano bezpłatnie rozdać i powiedziały przytem: Jesteśmy Polakami i nie chcemy się uczyć tej niemieckiej religii. Wobec tego oporu rząd postanowił najpierw, ażeby do pewnego czasu religię tylko wykładano, lecz nie zadawano dzieciom pytań. Potem nastąpiły naprzód łagodne, następnie zaś surowe napomnienia, nakoniec zagrożono karą, nareszcie wykonano je, pozostawiając dzieci w kozie i poddając je chłoscie. Tak stały rzeczy dnia 16 maja r. b. Tego dnia odbył się w Wrześni wiec ludowy, na którym notorycznie krytykowano środki, przedsiębrane przez rząd w sprawie nauczania religii po niemiecku i założono przeciwko nim protest.

Wiec miał na celu zachęcenie ludności do oporu przeciwko środkom, przedsiębranym przez rząd — na drodze prawnej, naturalnie, chcianoby pewnie tu dodać. Kto jednak wie, jak często lud nie umie opanować swego usposobienia, jak często w chwili czynu jest skłonny do przekroczenia przepisanych środków i dróg, ten nie wątpi ani na chwilę, że wiec z dnia 16 i wypadki z dnia 20 maja stoją w związku przyczynowym. Nie ulega

też wątpliwości, że to wzburzenie zostało spotęgowane wskutek opowiadań przez dzieci rodzicom tego, co słyszały od nauczyciela Schöltzchena, mianowicie, że w poniedziałek, w razie trwania oporu, będą wymierzone kary. Następstwem tego było, że ludzie zgromadzili się w poniedziałek przed szkołą, podług mego przeświadczenia z wyraźnym zamiarem przeszkodzenia zapowiedzianej chłości.

Tu mówca szczegółowo rozstrząsa znane zajścia szkolne, by na ich przykładzie wykazać, że kary cielesne wymierzone zostały zgodnie z prawem, a zatem należy na nie patrzeć jako na wykonanie czynności służbowych. W wykonaniu tych ostatnich inspektor okręgowy i nauczyciele bezwarunkowo tamowani byli przez zgromadzenie oskarżonych przed domem szkoły. Do tego dołączyło się jeszcze wtargnięcie osób do wnętrza szkoły, groźby, skierowane ku pojedynczym osobom urzędowym, наконец buntownicze krzyki i wołania tłumu.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w ciągu obrad ujawniło się, iż względem czynów wszystkich oskarżonych mogą być w zupełności zastosowane pojęcia buntu, zakłócenia spokoju publicznego, znieważenia urzędników i nieprzystojnego zachowania się. Że w grze tu były sprawy polityczne, dowodem tego wołania: Jest nas jeszcze dosyć, Polaków, tak łatwo nie dacie sobie z nami rady! Za 100 marek chcecie zaprzedać dusze naszych dzieci! — a także okrzyk: »Powieście go

na suchej gałęzi!», który zdradza niebezpieczne podobieństwo do znanego hasła Rewolucyi Francuskiej: *à la lanterne*.

Prokurator wnosi za wszystkie czyny, spełnione na ulicy przed szkołą od 12^{1/2} do 5-ej godziny po południu następujące kary:

- 1) Ignacego Furmaniaka, szewca, skazać na 9 miesięcy więzienia.
- 2) Franciszka Korzeniewskiego, robotnika — na 1 rok więzienia, lub 6 miesięcy domu poprawczego (Zuchthaus).
- 3) Antoniego Korzeniewskiego, ucznia szkolnego — na 4 miesiące więzienia i dwa tygodnie aresztu.
- 4) Rozalię Pawlicką, żonę robotnika — na 6 miesięcy więzienia.
- 5) Aleksandra Wiśniewskiego, w wieku lat 15 — na 4 tygodnie aresztu.
- 6) Franciszka Szypulskiego, szewca — uniewinnić.
- 7) Stanisławę Stachowiak, żonę szewca, skazać na 6 miesięcy więzienia.
- 8) Helenę Bednarowicz, żonę kowala — na 6 miesięcy więzienia.
- 9) Jakóba Sierakowskiego, robotnika — na 6 miesięcy więzienia.
- 10) Jana Zientka, szewca — na 9 miesięcy więzienia.
- 11) Ignacego Balcerkiewicza, syna szewca — na 9 miesięcy więzienia.

- 12) Antoniego Chojnackiego, szewca i bruka-
rza — na 1 rok więzienia.
- 13) Władysława Dzieciuchowicza, rzeźnika — na
1 rok więzienia.
- 14) Nepomucenę Piasecką, żonę malarza — na 2
lata 6 miesięcy więzienia.
- 15) Katarzynę Żołnierkiewicz, żonę kowala — na
9 miesięcy więzienia.
- 16) Józefa Żołnierkiewicza, krawca — na 9 mie-
sięcy więzienia.
- 17) Franciszka Musielaka, czeladnika szew-
skiego — na 6 miesięcy więzienia.
- 18) Walentego Maciejewskiego, szewca — na 1 rok
więzienia.
- 19) Józefa Hähnela, majstra krawieckiego — na
1 rok więzienia,
- 20) Ignacego Jagodzińskiego, szewca i pachcia-
rza — na 2 miesiące więzienia.
- 22) Jadwigę Jezierską, żonę tokarza — na 4 ty-
godnie aresztu.
- 23) Augusta Stachowskiego, cieślę — na 6 mie-
sięcy więzienia.
- 24) Adama Jarmużkiewicza, cieślę — na 8 mie-
sięcy więzienia.
- 25) Wojciecha Rydlińskiego, robotnika — na 4
tygodnie aresztu.

Elżbieta Kantorczyk, oskarżona Nr. 21, nie
stawiła się ostatniego dnia obrad, gdyż właśnie
powiła dziecko; przeciwko niej zatem później ma
się toczyć sprawa.

Prokurator wnosi następnie — na wypadek, jeśli sąd przysądzi 1 rok więzienia, lub więcej — aresztowanie oskarżonych.

Wnioski prokuratora, ze względu na surowość kar, wzniesają powszechną sensację.

Mowa współoskarżyciela Wintera.

Następnie zabiera głos inspektor okręgowy Winter, jako współoskarżyciel, i wygłasza następującą mowę;

Byłoby to moim obowiązkiem upraszać wysoki sąd o możliwie surowe ukaranie oskarżonej Piaseckiej, głównie ze względu na to, że wskutek ustawicznego oporu Polaków mamy rozmaite poważne przykrości nie tylko w stosunkach służbowych, lecz także w prywatnych. Gdy niedawno chowaliśmy pewnego drogiego nam nieboszczyka i posłaliśmy dziewczynę, aby przyniosła wody, to wróciła bez skutku, mówiąc, iż nie dopuszczono jej do studni, gdyż, jak powiedziano, »niech inspektorowi szkolnemu dokuczy pragnienie, zanim dostanie wody«. Dla wszystkich tych względów miałbym zupełne prawo prosić o surowe ukaranie oskarżonych. Lecz inne, ważniejsze, względy powstrzymują mnie od tego. Tok obrad wykazał z przerażającą jaskrawością, na jak niskim stopniu rozwoju ducha stoją wszyscy ci ludzie, i żywię głębokie przekonanie, że właśnie oskarżona Piasecka padła ofiarą pewnych wpływów. Jestem

najzupełniej tego pewny, że osoby, wyżej umysłowo rozwinięte mogły podburzyć i podburzyły tych ludzi, a zatem oskarżeni, jako ofiary tego podburzenia, zasługują na najgłębsze współczucie. Dlatego też proszę sąd o jak najłagodniejsze ukaranie oskarżonych. Może wtedy zaświta w ich umysłach myśl, że my, Niemcy, nie jesteśmy jednak tak złymi ludźmi i że mamy serce, nie tylko dla nich, lecz i dla ich dzieci, i może wtedy nawet Piasecka przyzna, że i my, Niemcy, stosujemy słowa Chrystusa: «Czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą, a módlcie się za znieważającymi i prześladowającymi was».

Obrona adwokatów.

Mowa adwokata Türka z Gniezna.

W danym procesie karnym, ze względu na rozmiary sprawy, z pośród epizodów okolicznościowych, które dodane zostały do procesu, z pośród wielu faktów natury politycznej i niepolitycznej, które omawiane były przy rozpatrywaniu samej sprawy, a które jednak pozostawały tylko w luźnym, a często w żadnym, związku z przestępnymi czynami pojedynczych oskarżonych, — zadaniem wysokiego sądu będzie wydobyć z pośród tego wszystkiego rzeczywiste fakty i istotne czyny pojedynczych oskarżonych, uzasadnić zewnętrzne przejawy, ujawnione w formie pewnych wystąpień i wyrażań, podczas zająć w dniu 20-ym

i 21-ym maja, następnie zaś orzec, czy czyny, uważane za dowiedzione, noszą piętno przestępstw przeciw kodeksowi karnemu, na których mocy oskarżeni pociągnięci zostali do odpowiedzialności i które zarzucone im zostały w akcie oskarżenia.

Wbrew opinii pana prokuratora jestem tego zdania, że tak zwane środowisko (*miliieu*) polityczne, w którym zajścia wrzesińskie rozegrały się, nie powinno mieć żadnego wpływu na wyrok.

Gdyby nawet w samych czynach dały się zauważyć wznoszące się i opadające fale polityczne, to redagowaniu wyroku sądu powinno załżeć jedynie na spokojnem i trzeźwem rozpatrzeniu zewnętrznych wydarzeń i ustaleniu istotnej prawdy.

Przesadzone artykuły prasy, przesadzone opowieści zajść, składane przez pojedynczych świadków, którym w psychologicznie zupełnie zrozumiały sposób zdawało się, że są wysoce pokrzywdzeni podczas zajść 20 i 21 maja, i którzy, jak się też następnie okazało, istotnie byli pokrzywdzeni — wszystko to dążyło do zagmatwania obrazu zajść z dnia 20 maja przez wciągnięcie do procesu podkładu politycznego, czego też życzył sobie pan prokurator i na co zezwalał również i sąd.

Powinno być zadaniem wysokiego sądu, by najwidoczniej rozdmuchane do potwornych rozmiarów wydarzenia z dnia 20 maja sprowadzić do miary, odpowiadającej istotnemu stanowi rze-

czy. I sędzę, że, jeżeli to zostanie spełnione, wówczas sąd musi przyjść do przekonania, iż w danych wydarzeniach kodeks karny został wprowadzie pogwałcony przez pojedyncze osoby w tym lub owym punkcie, ale nie może być mowy o buncie lub zakłóceniu porządku publicznego przez wszystkich oskarżonych, w szczególności zaś przez tych ośmiu, którzy mi powierzyli swoją obronę.

Można w aktach doskonale wysledzić, w jaki sposób wydarzenia te, które może lokalnie były ważne dla Wrześni, wzmogły się z biegiem czasu i, jak mi się wydaje, wskutek przesady do tych rozmiarów wielkiego buntu i zakłócenia porządku publicznego, w jakich przedstawiły się oczom naszym w ciągu dni ubiegłych.

Chociaż te wydarzenia, które teraz określone zostały jako bunt i zakłócenie porządku publicznego, nastąpiły już w dniu 20 maja, jednak aż do dnia 23 maja r. b. nic nie wiadano o nich tutaj w sądzie i u tych władz, które przy takich niebezpiecznych przestępstwach, jak zakłócenie porządku publicznego i bunt, zostałyby powołane do natychmiastowego wystąpienia, zarówno przez ludność, jak i przez władze administracyjne. Dopiero z gazety »Posener Tageblatt« dowiedział się o nich pan prokurator po raz pierwszy i gdy powołując się na artykuł gazety »Posener Tageblatt«, zwrócił się do landrata we Wrześni, landrat powiadomił go, że artykuł ten jest w pewnej mierze nieścisły i przesadzony.

Z okoliczności tej wyciągam ten wniosek, że

we Wrześni podówczas ani ludność, ani władze nie sądziły, by w zajściach z dnia 20 maja chodziło o zakłócenie porządku publicznego.

Pan landrat zadowolnił się tem, że wniósł o ukaranie przeważnej liczby oskarżonych jedynie za nieprzystojne zachowanie się i za zbiegowisko i tylko odnośnie do 8 osób poruszono zostało pytanie: czy nie podlegają one §§ 113 i 114 kodeksu karnego?

Również i ta okoliczność, że świadek Winter bezpośrednio po wypadkach przy pierwszym badaniu sądowem wyraźnie zrezygnował z żądania kary dla Piaseckiej i dopiero później namyślił się inaczej i wystąpił z tem, że z powodu obrazy wyrządzonej przez tę nieoświeconą kobietę przyłącza się do sprawy w charakterze współoskarżyciela, — okoliczność ta świadczy o tem, że dopiero z czasem nadano wypadkom wrzesińskim poważnie niebezpieczne znaczenie i że bezpośrednio po samych wydarzeniach nie uważano ich bynajmniej, ani za bunt, ani za zakłócenie spokoju publicznego.

Ostatecznie poza kilku okrzykami i wymysłami nic więcej nie zaszło, chociaż dla utrzymania spokoju nie przedsięwzięto żadnych szczególnych środków. Wszystko skończyło się ostatecznie ku ogólnemu zadowoleniu, jak to się zwykle mówi.

I w istocie, żaden z oskarżonych nie stał się winnym przez podjęcie buntu lub zakłócenie porządku publicznego. Tego dowodzi sumienne zba-

danie przedstawionych materiałów dowodowych i odnośnych artykułów prawa karnego.

O ile stosuje się to do moich klientów: Farmaniaka, Franciszka Korzeniewskiego, Antoniego Korzeniewskiego, Franciszka Szypulskiego, Stanisławy Stachowiakówny, Zientka, Balcerkiewicza i Antoniego Chojnackiego, postaram się rzecz tę szczegółowo wyjaśnić.

O rozruchy i zakłócenie spokoju publicznego chodzi tylko w zajęciach z dnia 20 maja, trzeba więc zbadać: czy wogóle bunt i zakłócenie spokoju publicznego wydarzyły się wówczas i czy i w jakim stopniu którykolwiek z moich klientów brał udział w tych przestępstwach?

Zgodnie z wynikami rozpraw sądowych zajęcia przed domem szkolnym z dnia 20 maja dzielią się na dwie zupełnie odmienne części, z których każda wymaga oddzielnej faktycznej i prawnej oceny.

1. Pierwsza część obejmuje czas pomiędzy godziną 12-tą a 1-szą, od chwili kiedy dostrzeżona chłosta dzieci w lokalu szkolnym i płacz chłostanych dzieci ściągnęły rozmaitych widzów, kiedy potem zgromadzenie się powiększyło i gdy niektóre osoby około 1-szej wdarły się do gmachu szkolnego, aż do chwili, gdy ci, którzy tam wtargnęli, opuścili szkołę i oddalili się.

Równocześnie z ostatnim tym momentem, jak to stanowczo pod przysięgą zeznaje świadek Winter, nagle ustał świst, drzwi się zamknęły i deszcz rozprószył tłum, z którego pozostały małe gro-

madki, rozmawiające z sobą. Potem wszystko uci-
chło. W ten sposób zakończona została w zupeł-
ności pierwsza część dramatu.

2. Druga część obejmuje czas późniejszy, po-
cząwszy od wystąpienia żandarma Eichlera, aż
do godziny 5-ej po południu. Gdy się potem znów
wszystko uspokoiło, przybył Eichler na żądanie
nauczyciela Pohla przed budynek szkolny, gdy Pia-
secka wraz z innemi osobami już szkołę opuściła.
Znalazł on tam 200 do 300 dzieci rozmaitego wy-
znania, oraz pewną liczbę kobiet i kilku mężczyzn,
którzy znajdowali się na ulicy.

Wówczas już nie czyniono hałasu. Eichler,
jak to sam zeznał, począł oczyszczać ulicę, jak
zazwyczaj przy zbiegowiskach, dzieci się nie
sprzeciwiały, dorośli rozeszli się, oprócz tych, któ-
rzy zostali zanotowani.

Od czasu do czasu w ciągu popołudnia zbie-
rał się znów tłum, z którego padały niesforno
okrzyki wówczas, gdy który z nauczycieli przy-
chodził lub odchodził.

Tu w tej części zajścia z dnia 20-go maja
może być mowa tylko o zbiegowisku, w czasie
którego, jak się to zwykle podczas zbiegowisk
dzieje, ten i ów hałasował i puszczał wodze swe-
mu językowi.

Tu, w tej drugiej części, nawet w teoryi nie
może być mowy o przypuszczeniu jakiegoś buntu,
lub zakłócenia spokoju publicznego.

Bo jakże może być mowa już po odejściu
p. Wintera i nauczycieli o jakimś pełnieniu czyn-

ności urzędowych, którym chciano jakoby przeszkodzić?

Gdzie dopuszczono się wspólnymi siłami jakiegoś gwałtu lub pogroźek względem nauczycieli?

Kto z obecnych w sali sądowej mógłby wskazać ten gwałt, który wspólnymi siłami dokonany został na osobach lub rzeczach?

Dowodu, stwierdzającego usiłowanie wywołania buntu lub zakłócenia spokoju publicznego, w okresie tej drugiej części zajść z dnia 20 maja, niema ani jednego.

Przeciwnie, stwierdzone zostało na podstawie zeznań świadków, że w tym okresie nie spełniono żadnych czynów, któreby zakłócały spokój publiczny lub wywołały rozruchy.

Ludzie poddawali się chętnie policyi, działającej taktownie i z zupełnym spokojem. Starszy wachmistrz zeznał pod przysięgą, że ludzie nie robili na nim wrażenia tłumu buntującego się, a nawet choćby tylko stawiającego opór, dlatego zaniechał on trzykrotnego wezwania, jak się to robi podczas zbiegowiska, ażeby ludzie się rozeszli.

Kto po przybyciu Eichlera znajdował się w tłumie, względem tego upada samo przez się oskarżenie o bunt i zakłócenie spokoju publicznego.

Sześciu moich klientów dotyczy jedynie druga część zajść; są to ci, których przestępstwa mają być dowiedzione przez Eichlera i Pfitzermana,

mianowicie: Furmianiak, Franciszek Korzeniewski, Antoni Korzeniewski, Stanisława Stachowiakówna, Zientek i Balcerkiewicz.

W tem miejscu zaznaczyć muszę, że współoskarżony Szypulski o bunt i t. p. zostaje stąd wyłączony, ponieważ okazało się, że w d. 20 maja wcale się przed szkołą nie znajdował.

Niepodobieństwem jest z punktu widzenia prawnego chcieć połączyć te dwie rozdzielone przezemnie części i przez to oskarżonych uczynić odpowiedzialnymi za zajścia.

Tłum zebrany w południe, jak to zostało ustalone, rozszedł się; tłum poobiedni składali już inni ludzie. Landrat także stwierdził, że mężczyźni wszyscy byli w domach, a po większej części były na ulicach dzieci i kobiety, kiedy właśnie w południe dzieci nie było, tylko, podług zaświadczeń nauczycieli, dorosłe osoby, które, jak wiadomo, wskutek deszczu rozeszły się i wkrótce wszystko uspokoiło się.

Do czynów owych sześciu oskarżonych wrócę później.

Naprzód będę mówił o pierwszej części zajść, które się odegrały w południe, gdyż o tym czasie klient mój Chojnacki znajdował się w tłumie i przez to stał się winnym przekroczenia §§ 114 i 115 (artykułów o buncie) łącznie z § 125 kodeksu karnego.

Przedewszystkiem powstaje pytanie: czy stwierdzony jest fakt buntu ze strony Chojnackiego, czyli, mówiąc słowami prawa, czy *brať*

udział w publicznem zbiegowisku, na którem postanowiono wspólnemi siłami zmusić inspektora szkolnego lub nauczycieli, przy pomocy gwałtu lub pogróżek, do zaniechania czynności urzędowych?

Sąd przy rozpoczęciu śledztwa na mocy uchwały wstępnej orzekł, że pod czynnością urzędową rozumieć należy: przedsięwziętą lub postanowioną chłostę dzieci uczących się, jak również zamierzone wykonanie dalszych czynności urzędowych w gmachu szkolnym.

Jeżeli taki jest stan rzeczy, to najpierw, czy w dniu 20 maja uchwalono udaremnić połączonymi siłami zamierzoną chłostę dzieci, lub przeszkodzić pełnieniu innych czynności urzędowych w gmachu szkolnym?

Jeżeli to nie miało miejsca, to, logicznie biorąc, nie może być mowy o zbiegowisku, któreby takie czyny przedsiębrało.

Ponieważ na podstawie zeznania pod przysięgą świadków: Wintera i nauczycieli, ustalono, iż wówczas, pominąwszy chłostę dzieci, nie miano zamiaru spełniać dalszych urzędowych czynności w gmachu szkolnym, że nawet nie przewidywano wtedy chłosty dzieci na przyszłość, więc jedyną możliwą czynnością urzędową, któraby mogła być udaremnioną, była to właśnie chłosta dzieci.

Ale, że tej tak zwanej czynności urzędowej nie starano się udaremnić, to udowodnione zostało w toku całego śledztwa sądowego, w ostatnim zaś dniu obrad, dzięki pytaniom parokrotnie

zadawanym panu Winterowi, stwierdzono to jak na dłoni.

Bo gdy osoby, które rzekomo chciały odwieść nauczycieli od ich czynności urzędowych przez wtargnięcie i groźby, weszły do sieni szkolnej lub też stały na progu, było już po chłości. Pan Winter znajdował się wówczas wraz z obydwoma nauczycielami w sieni, żeby po skończonej chłości udać się do domu.

Jeśli trzymać się opisu p. Wintera i nauczycieli, to rzecz miała się jak następuje:

Gdy pan Winter przyszedł do szkoły około godziny 12-ej, zarządził chłostę cielesną dla 14 dzieci, chłopców i dziewczynek. Gdy tę wykonywano we frontowym pokoju szkoły, przed gmachem szkolnym zaczęli gromadzić się widzowie, którzy widzieli chłostę z mieszkań, położonych naprzeciwko szkoły, lub słyszeli płacz dzieci. Spostrzegłszy to, Winter przeniósł chłostę dzieci do tylnego pokoju. Na zewnątrz wszczął się hałas, jak to bywa zazwyczaj w tłumie, kiedy wspólnie omawia się wypadki. Jest to zupełnie zrozumiałe, a jednak inspektor okręgowy, którego dotychczas nie spotkała żadna obraza, uważał położenie za niebezpieczne i na 20 minut przed pierwszą udał się z domu szkolnego do biura policyi.

Chociaż, jak się wyraził Winter, tłum przybierał groźną postawę, jednak tenże Winter wolny od zniewagi spokojnie przeszedł przez tłum na policyę i stamtąd, niezaczepiony po drodze, powrócił do szkoły.

Aż do jego powrotu nikt ani groźbami, ani siłą, tembardziej zaś połączonemi siłami, nie starał się zmusić go do zaniechania chłosty.

Po powrocie więc zarządził Winter chłostę pozostałych trojga dzieci i potem — cytuję tu dosłownie jego zeznanie na pierwiastkowym śledztwie (arkusz 186), które na sądzie potwierdził — po chłości wyszedł do sieni, ażeby udać się do domu.

Dopiero po tej chłości otwarto jedną połowę drzwi i jedna osoba weszła do sieni, podczas gdy na progu stało więcej osób i z tych ta lub inna mogła nawet przestąpić przez próg.

Jeżeli potem — a pod tym względem Koralewski i Schölzchen mówią to samo — dopiero po chłości Piasecka i inni weszli do sieni, to, gdybyśmy nawet chcieli ich postępowanie uważać za groźne, w każdym razie jeszcze nie mogło być mowy o zamiarze przeszkodzenia nauczycielom w chłości.

Wobec tego zaś Chojnacki nie mógł stać się winnym wykroczenia przeciwko art. 114 kodeksu karnego.

Pozostaje jeszcze do wyjaśnienia pytanie, czy zarządzona wtedy przez inspektora szkolnego chłosta rzeczywiście może być uważana za czynność urzędową w myśl art. 114 kodeksu karnego?

Z punktu widzenia prawnego kwestya ta bynajmniej nie jest bezsporną.

Prawo chłosty należy tylko do rodziców i nau-

czycieli, jako takich, i nie może być przelewane na inne osoby.

Czy pedel szkolny posiada takie prawo chłosty, przynajmniej samoistne prawo kwestya ta, po zbadaniu przepisów prawnych, nasuwa wiele wątpliwości.

Dla dyscypliny szkolnej mają dziś jeszcze znaczenie przepisy prawa, według których wykonanie chłosty przez pedlów szkolnych wymaga przyzwolenia rodziców lub opiekunów. Bez tej zgody podobna chłosta nie byłaby bynajmniej uprawnionym czynem urzędowym.

Jednakowoż po moich dotychczasowych dowodzeniach w obecnym wypadku jest to pytanie czysto akademickie i mogę śmiało przejść nad niem do porządku dziennego.

Niezależnie od tego, co już wyłożyłem, niema tu przecież warunków, wymaganych przez art. 114 kodeksu karnego, jak również warunków, wymienionych w art. 115 kodeksu, na których zasadzie Chojnacki został oskarżony.

O gwałcie bowiem nie mogło być mowy, bo nikomu nawet włos z głowy nie spadł.

Pogróżki zaś uważam za nieuzasadnione; nie złego nauczycielom się nie stało, być może, że wymyślano im, właściwe jednak pogróżki nie zostały udowodnione.

Przypuszczenie, że Piasecka i inne osoby weszły do budynku szkolnego, ażeby przeszkodzić chłości, jest dowolne.

Podług mego zdania, Piasecka chciała tylko

sama do domu przyprowadzić swe dziecko, bo już mogła oczekiwać na nie około godz. 10-ej. W tym celu poszła do szkoły, inni ludzie, którzy ją odprowadzali, towarzyszyli wzburzonej kobiecie bez jej żądania.

Przecież, jak to wykazało badanie sądowe, czyniła ona ludziom wymówki, że biegną razem z nią. Świadkowie Zientek i Sikorska zaświadczyły to jednoznacznie.

Charakterystyczne jest także zeznanie p. Wintera, że Piasecka i inni na jego widok okazali zdumienie. Nie byłby zdumiony ten, kto w świadomym zamiarze wpada do szkoły, ażeby powstrzymać od czynności urzędowych inspektora szkolnego.

Jeżeli po tem wszystkiem, jak jeszcze raz podkreślam, niema tu bynajmniej czynu karnego, przewidzianego w artykule 114, to naturalnie nie może być mowy o udziale w zbiegowisku, któryby obrażał art. 114 kodeksu karnego. Ani Chojnacki, ani żaden z oskarżonych nie należał do zbiegowiska w technicznym znaczeniu prawnokryminalnem.

Chciałbym, pomimo, że to, co się dotychczas powiedziało, w gruncie jest już dostateczne, jeszcze bliżej uzasadnić, że zbiegowisko jest czynem, noszącym piętno zakłócania spokoju publicznego, t. j. przestępstwo z art. 125 kod. karn., którego także miał się stać winnym Chojnacki, a z zaprzeczeniem udziału w zbiegowisku upada tem samem

oskarżenie przeciwko Chojnackiemu o zakłócenie spokoju publicznego.

Według terminologii kodeksu karnego przypadkowo zebrana ciżba ludzi tworzy tłum, jak to ustala art. 116 kod. kar.

Zbiegowisko zaś w ścisłym znaczeniu ma miejsce dopiero wówczas, gdy ludzie świadomie zgromadzą się w celu spełnienia czynów przeciwnych prawu.

Tutaj, przy zajściach z dnia 20 maja, tak w pierwszej, jak i w drugiej części ludzie zeszli się dla najrozmaitszych powodów, ale nikt, z pewnością zaś nie Chojnacki, po to, by przez swoją obecność skłaniać tłum do działań występnych.

Jeden przyszedł, ponieważ myślał, że się pali, drugi musiał iść przez ulicę do roboty, przechodnie, którzy słyszeli chłostę i płacz dzieci, zatrzymali się przez ciekawość. Gdzie parę osób stoi, tam przez ciekawość dołączają się do nich inni.

Przecież już Goethe powiedział w swojej eposie »Herman i Dorota«:

»Nie ciekawość tu działa, lecz każdy biegnie i pędzi, ażeby zobaczyć smutny pochód biednych wygnańców«.

Tu możnaby powiedzieć z pewną odmianą:

»Nie ciekawość tu działa, lecz każdy biegnie i pędzi, ażeby zobaczyć smutny pochód katowanych dzieci«.

Właściwie ciekawość zgromadziła ludzi, którzy, naturalnie, ponieważ chłosta dała główny po-

wód do zbiegowiska, o niej rozmawiali i nieco na jej temat drwili.

Co się zaś tyczy w szczególności Chojnackiego, nic mu nie można więcej zarzucić, jak to, iż z ciekawości podszedł do budynku szkolnego, ponieważ, jak mówi, myślał, że jest pożar.

Podług zeznania Kozłowicza co do Chojnackiego, stał ten podczas jego zjawienia się przy kamiennych schodkach i nic nie robił. Został aresztowany jedynie dlatego, że należał do tłumu, a stał nawet — podług zeznania Kozłowicza — w znacznem oddaleniu od szkoły, a także dlatego, że przypadkowo Kozłowicz znał go. Nawet nie zostało dowiedzione, że wezwany był do opuszczenia swego miejsca i że temu wezwaniu zadość nie uczynił.

On zatem nic nie robił oprócz tego, że stał na ulicy. Niezbitem pozostało, iż zupełnie przypadkowo znalazł się na ulicy Kościelnej, ponieważ myślał, że się pali.

Jakżeż można mu dowieść, nawet z punktu widzenia podmiotowego, że świadomie brał udział w zbiegowisku, dla przedsięwzięcia czynów występnych?

Nie może stanowić zasady prawnej, że skoro razem schwytany, to i razem go powiesić. Trzeba przecież dowieść oskarżonemu jego subiektywnej współwiny.

Były próby rozmaitego konstruowania pojęcia złej woli (dolus) przy udziale w zbiegowisku oskarżonych, a w ich liczbie i Chojnackiego. Tej

złej woli, która według jurysprudencji sądu rzeszy, a także komentarzy do prawa, musi być skierowana ku wznieceniu buntu, respective ku zakłóceniu spokoju publicznego i która wymaga dobrego stwierdzenia faktów:

- 1) że oskarżeni brali udział w zbiegowisku;
- 2) że wiedzieli, iż przez udział w temże wspólnymi siłami dopuszczają się czynów, przewidzianych w art. 114 oraz 125 kodeksu karnego.

Chciano dowieść, że ten czyn stoi w związku z polskiem zgromadzeniem ludowem, które się odbyło we Wrześni d. 16 maja, wzburzyło umysły i nareszcie stało się przyczyną buntu. Cóż w tym kierunku wyjaśnione zostało na sprawie?

Oto:

- 1) że nikt z oskarżonych nie był obecny na tem zgromadzeniu;

- 2) że zgromadzenie, które się odbyło z całym spokojem i godnością, wprost przeciwnie, miało wpłynąć na uspokojenie umysłów we Wrześni. Tam, na tem zgromadzeniu, jak zeznał pod przysięgą pan Głębocki, przestrzegano właśnie przed wszelkiego rodzaju wykroczeniami i przytem z charakterystyczną uwagą, że te wykroczenia są tylko wodą na młyn wrogów ludności polskiej.

Więc z tego faktu niepodobna nic wynioskować o złej woli (dolus) oskarżonych.

Świadek Winter chce sobie tak zwane zbiegowisko ludzi wyjaśnić w ten sposób, że może która z obitych dziewczynek po drodze opowie-

działa komuś o chłście, a ten zwołał ludzi na demonstracyę.

Jak mój kolega Dziembowski już zauważył w czasie toku sprawy, jest to luźne przypuszczenie świadka, a z przypuszczeniami sąd karny żadną miarą liczyć się nie może.

Dlaczego szukać tak oddalonych przyczyn, dlaczego się opierać na przypuszczeniach, skoro powód zbiegowiska był tak naturalny?

Chłosta odbywała się w szkole w sposób tak niezręczny, że w domach położonych naprzeciw szkoły spostrzeżono chłostę i że przechodnie słyszeli płacz dzieci.

Czy ciekawość ludzka nie jest naturalnem wyjaśnieniem zbiegowiska ludzi?

Gdyby się to wydarzyło w ewangelickiej albo żydowskiej szkole we Wrześni, albo nawet gdyby fakt ten miał miejsce na zachodnich kresach naszej ojczyzny, ludzie zbiegliby się również. I gdyby gdziekolwiek dzieci powróciły ze szkoły skatowane, jak to miało miejsce z synkiem Nowaczewskich, który, podług opinii dra Krzyżagórskiego i zeznania Łukasza Orcholskiego i Tekli Kaczorowskiej, wyszedł ze szkoły z rękami silnie opuchłemi, wzbudzając tem współczucie kobiet tak silne, że aż z nim razem płakały, to i gdzieinziej, nietylko we Wrześni, niezadowolenie ludzi musiałoby głośno się objawić.

Zatem zbiegowisko było wręcz przypadkowe, wywołane chłostą, a nie umówione z góry w tym

celu, by chłóście przeszkodzić, albo wywołać demonstrację polityczną.

Któż są więc ci ludzie, którzy się zbiegli?

Przeważna część mieszkała na tej samej ulicy, przy której stoi budynek szkolny i w małych bocznych uliczkach. I z tego też okazuje się, że było to przypadkowe zgromadzenie się tłumu ludzi, nie zaś ułożone z góry dla osiągnięcia przestępnego celu.

Gdyby na targu w Wrześni stało się coś godnego uwagi, prawdopodobnie zbiegliby się ludzie na targu; gdyby się coś stało na ulicy Kościelnej, to, oczywiście, mieszkający tam ludzie musieliby się zgromadzić.

O poprzedniem zmaganiu się ludzi, ażeby się zejść pomiędzy godziną 12-tą a 1-szą dla jakiejś demonstracyi, nie może być mowy, tembardziej, że p. Winter dosłownie oświadczył:

»Ludzie wcale nie mogli wiedzieć o tem, że dzieci miały być chłostane o godzinie 12-iej, gdyż ja sam o tem wcześniej nie wiedziałem. Moje rozporządzenie nie mogło dojść do rodziców«.

A więc na stwierdzenie złej woli (dolus) oskarżonych, a szczególnie Chojnackiego, nic już nie pozostaje.

Z tego wynika, że nie może on zostać skazany za wywołanie buntu i zakłócenie porządku publicznego, również jak i inni oskarżeni, za którymi wnoszę obronę.

Co do zakłócenia porządku publicznego ostatecznie po przeprowadzeniu rozpraw okazuje się,

że brak również dowodu, by wspólnemi siłami przedsiębrano gwałt przeciwko osobom, albo, jak tu utrzymywano, przeciwko rzeczom.

Co do tego twierdzi przedstawiciel urzędu prokuratorskiego, że czynów gwałtu dopatrzyć się można w biciu kijami, albo rzucaniu kamieniami w drzwi budynku. Tymczasem żaden z tych świadków, którzy się znajdowali podówczas na ulicy, ani z tych, jak Łukasz Orcholski, którzy patrzyli na całe zdarzenie od samego początku, ani też, jak pani Jarmużkiewiczowa, która od początku do końca przyglądała się temu zajściu, nie spostrzegli, ażeby się stało coś podobnego. Również ani Kozłowicz, ani nikt inny nie zauważył kamieni na schodkach lub w pobliżu szkoły.

Co do tych faktów w czasie rozpraw sądowych zeznano, co następuje:

a) inspektor królewski Winter zeznał, że dobijano się do drzwi wchodowych, zanim one zostały otworzone;

b) Schöltzchen: że po drzwiach dudniło, tak jak gdyby rzucano w nie kamieniami;

c) Koralewski: że słyszał odgłos rzucanych kamieni o drzwi.

Jedno tylko możemy uważać za słuszne, że silnie do drzwi pukano, może nawet uderzano, ale czy skuteczniiano to przy pomocy kijów, czy kamieni, tego stwierdzić nie było można.

Te różniące się zeznania trzech świadków o sposobie bicia w drzwi wskazują, że te przypuszczenia nie zgodziły się z sobą.

P. Winter udzielił co do tego silnego pukania doskonałego objaśnienia. Powiedział mianowicie, że drzwi szkolne otwierają się na zewnątrz. Tego widocznie ludzie nie wiedzieli i dlatego uderzali w drzwi, ażeby je od wewnątrz otwarto.

Jeżeli to przypuścić, a tak zapewne też było, to nie można mówić o dokonaniu gwałtu przeciwko rzeczom. Bo czyn gwałtu wymaga, ściśle biorąc, znacznego nateżenia siły, użytego względem danego przedmiotu w tym celu, aby go uszkodzić. Tutaj nie szło o uszkodzenie, tylko o chęć otworzenia drzwi, o których sądzono, że się otwierają na wewnątrz.

Nie jest również wykluczone, by tylko jedna osoba pukała do drzwi, co w braku przeciwnych dowodów może być tłumaczone tylko na korzyść oskarżonych i w tym wypadku nie może być mowy również o działaniu «wspólnymi siłami».

A więc pominiawszy brak podmiotowej winy przy spełnieniu danego czynu, niepodobna również dowieść, by oskarżeni, w szczególności zaś Chojnacki, stali się winnymi względem przedmiotu na podstawie art. 125 kodeksu karnego.

Wobec tego przypuszczam, że co dotyczy kwestyi buntu i zakłócenia porządku publicznego wszyscy moi klienci w tym punkcie muszą zostać uniewinnieni.

Z klientów moich Szypulski i Stachowiakowa są oskarżeni jedynie z powodu wyżej wzmiankowanych przestępstw, tak, że co do tych dwóch z moimi wywodami obrończymi już skończyłem.

Muszę tylko jeszcze przypomnieć, że podług zeznań wyrobnicy Stańskiej, Stanisława Stachowiakowa nie więcej nie uczyniła nad to, że w tłumie tylko z dwiema kobietami o godz. 3½ po południu szła przez ulicę i na zapytanie starszego wachmistrza Eichlera: »Kobiety, czy nie lepiej byłoby iść do domu?« odpowiedziała: »Dziś szewski poniedziałek«.

Nie więcej obciążającego nawet żandarm Eichler nie mógł przeciwko niej przytoczyć. I wyraźnie zaświadczył, że Stachowiakowa wraz z 3—4 kobietami stała, gdy już tłum rozszedł się. On je jedynie tylko usuwał, bo chciał ulicę oczyścić.

Ponieważ zeznanie Stańskiej okazało się prawdziwym i nie zawierało oskarżenia Stachowiakowej, więc zaniechano następnego badania świadka obrony, Antoniny Sikorskiej.

Furmaniak, Franciszek Korzeniewski i Antoni Korzeniewski podobno także stali się winnymi wykroczenia przeciwko przyzwoitości publicznej i zakłócenia spokoju.

Cóż w tym względzie dowiedzione zostało?

Furmaniak wskutek tego wpadł w oczy wachmistrzowi, że był w tłumie i wprowadził na żądanie żandarma oddalił się, wkrótce jednak znów ukazał się na widowni, na ponowne zaś wezwanie Eichlera ponownie się oddalił. Podobno raz zrobił niewłaściwą uwagę: »Czego chce żandarm, żandarm nie ma prawa mi nic mówić«.

Te czyny nie zawierają w sobie bynajmniej oznak wyżej wymienionych przestępstw.

Szczególnego hałasu Furmaniak nie wszczy-
nał, jeżeli zaś się po ulicy kręcił, to w tem niema
jeszcze nieprzystojnego zachowania się, tembar-
dziej, jeżeli dowiódł, że miał uzasadniony powód,
dla którego się na ulicy znajdował.

Furmaniak jest szewcem i wtenczas właśnie
kupował cholewy u handlarza skór Corka, musiał
więc przechodzić przez ulicę Kościelną, przy któ-
rej Corek mieszka. Potem pożyczył sobie od Igna-
sińskiej 10 fenigów. Zwrócił on na siebie uwagę
tem, że, jak zeznają świadkowie: Corek, Wiśniew-
ski i Ignasińska — był pijany i ponieważ żan-
darm znał go już przedtem, figurował bowiem na
liście pijaków.

To, czego mu dowiedziono, nie usprawiedli-
wia zastosowania do niego art. 60 o wykroczeniu
przeciwko przyzwoitości publicznej i dlatego po-
dług moich pojęć powinien on być zupełnie unie-
winniony. Co się tyczy Franciszka Korzeniew-
skiego, Eichler i Pfitzerman zeznali, że był on na
ulicy i krzyczał razem z innymi hura i brawo.
Żądaniu, ażeby się oddalił, zawsze zadość czynił,
chodził do mieszkania Witkowskich i jak Pfitzer-
man mniema, *pił dla nabrania odwagi*, później po-
wrócił i na powtórne żądanie znów udał się do
Witkowskiego, ażeby, jak sądzę, nie pić dla na-
brania odwagi, lecz ażeby gasić pragnienie.

Oskarżony sam mówi, że nie wołał hura
i brawo, tylko, pomagając policyi, wołał do tłumu:
»Nie krzyczcie »hura« i »brawo!«. Zatem nie po-
popępiał wykroczenia przeciwko spokojowi pu-

blicznemu, lecz przeciwnie pragnął wykroczenia te powstrzymać. Pozostawiam to uznaniu sądu czy można polegać na tych zeznaniach. W każdym razie nie miał on złych zamiarów i możnaby co do niego zastosować chyba tylko jak najlżejszy wymiar kary.

Antoni Korzeniewski, który ma dopiero lat 14, zwrócił na siebie uwagę przez to, że, niosąc obiad swojemu ojcu w południe, w pierwszym i drugim dniu krzyczał »hura« i »brawo« i tylko przez ciekawość wdrapał się na parkan, ażeby zobaczyć, co się stało w gmachu szkolnym.

I tu zwracano uwagę na przedmiotowe zastosowanie art. 360. Trzeba też rozważyć, czy zdawał on sobie sprawę z tego, że postępowanie jego było wykroczeniem przeciwko prawu. To ostatnie przypuszczenie podług mego zdania wymaga stanowczego zaprzeczenia. Zapewne można przypuścić, że chłopiec w tym wieku, jak ostrożny, wie, że nie wypada biedz na ulicy za nauczycielami i krzyzczeć głośno hura i brawo; wie również zapewne, że nie wypada wdrapywać się na parkan, chociaż to ostatnie przypuszczenie wydaje mi się nieprawdopodobnem. Wszystko to jednak nie wystarcza do ukarania oskarżonego. Do tego jest jeszcze koniecznem, ażeby oskarżony był w stanie zdać sobie sprawę z tego, że przez spełnienie swego czynu naraża się na karę kryminalną. Wyjaśniają to dokładnie motywy do kodeksu karnego i na tem stanowisku stoi również praktyka sądu rzeszy (Reichsgericht). Aby zaś oskarżony

był do tego stopnia rozwinięty pod względem umysłowym, licząc w maju zaledwie rok czternasty, by wiedzieć, że prawo publiczne zabrania wszelkich krzyków na ulicy, tego nie można przypuścić. W każdym razie istnieją co do tego poważne wątpliwości.

In dubio pro reo!

Dlatego wnoszę również o uniewinnienie Antoniego Korzeniewskiego i oddanie go pod dozór jego rodziny.

Co się tyczy zejść z dnia 20 maja wypada zastanowić się z pośród liczby moich klientów jeszcze nad Zientkiem i Balcerkiewiczem, którzy w tym dniu przez dalsze samoistne czyny mieli się stać winnymi obelgi, wyrządzonej publicznie nauczycielowi Koralewskiemu, w związku, i z jawnem podżeganiem do spełnienia przestępnych czynów. Przestępstwo przeciwko art. 110.

Również i Antoni Chojnacki jest oskarżony o to samo przestępstwo popełnione w dniu 20-go maja r. b. Wyjaśniło się jednak, że zeznania obciążające świadka Pfizermana odnosiły się nie do dnia 20-go maja. Chojnacki jest więc wyłączony od domniemanej obrazy i podżegania do spełnienia występnych wyroków.

Co czynił zatem Zientek w dniu 20 maja? Zientek podług brzmienia aktu oskarżenia i na mocy zeznania Knappego miał podobno głośno wołać, gdy nauczyciel Koralewski szedł przez ulicę: »Bijcie go, bijcie go, tego łajdaka«. Co do Zientka posiadamy dwóch świadków: 1) telegra-

ficznie wezwanego Stanisława Politowicza; 2) żandarma Pfitzermana.

Nie mamy powodów wątpić o wiarogodności Politowicza. Zeznał on, że w dniu 20 maja całe popołudnie stał przed swoim domem na Kościelnej ulicy. Na kwadrans czasu zbliżył się do niego Zientek. Zientek stał spokojnie, tylko raz zawołał »hop«, ażeby syna przywołać. Uwłączających wyrażeń nie słyszał, chociaż stał tuż przy Zientku. Gdy Zientek zawołał »hop«, żandarm Pfitzerman, który dotąd stał oddalony mniej więcej o 20 kroków, zbliżył się i zanotował Zientka. Żona Politowicza, która była przy tem obecna i nie mogła pojąć, dlaczego żandarm zanotował spokojnie zachowującego się Zientka, zapytała jeszcze żandarma, czy i jej nie zechce zanotować, na co otrzymała odpowiedź: »Ale gdzie tam«. Wbrew temu dowodzi Pfitzerman na zasadzie swoich notatek, jakoby Zientek wołał: »Hura, hura, bijcie go, tego złodzieja«, być może, że mówił także i »psia krew«.

Gdy porównamy te zeznania, to okaże się sprzeczność wprost nie do rozstrzygnięcia. Sprzeczności nie da się także usunąć w ten sposób, że Zientek wydawał te okrzyki w innym czasie, mianowicie wówczas, gdy już przy Politowiczu nie stał. Wszak Pfitzerman właśnie z powodu okrzyków zbliżył się do tej gromadki, zanotował oskarżonego i odpowiedział żonie Politowicza: »Ale, gdzie tam«. Musiał się więc Pfitzerman pomylić. Wtenczas z wielu stron wołano. Zientek także wo-

łał »hop«, mógł więc Pfizterman (był on przytem oddalony o 30 kroków od Zientka) wyrazi »bicie go« słyszeć z tej strony, gdzie stał Zientek i przypuszczać, że on właśnie był wołającym.

Sądzę wobec zeznań, że raczej Pfizterman pomylił się, niż Politowicz, i dlatego należy stwierdzić brak dowodów istnienia obrazy i wykroczeń przeciw art. 110 i 111 ze strony Zientka.

Zupełnie identycznie rzecz się ma z Balcerkiewiczem. Tu mamy czterech świadków, którzy w chwili, kiedy Pfizterman notował oskarżonego o rzekome wołanie: »Walcie go, tego złodzieja«, stali tuż przy Balcerkiewicz, nawet bardzo uważnie przypatrywali się, a nie słyszeli wymienionych wyrazów.

Wiktorya Politowiczowa zeznała, że widziała, jak Balcerkiewicz przyszedł ze swego warsztatu i w wąskiej odosobnionej uliczce przed domem malarza Jerzyńskiego stał spokojnie z założonymi rękami. Aż do chwili, kiedy zbliżył się Pfizterman do Balcerkiewicza, żeby jego nazwisko zapisać, nie słyszała, aby Balcerkiewicz cokolwiek mówił. Ona przyglądała się Balcerkiewiczowi szczególnie uważnie wówczas, gdy Koralewski przechodził i wtenczas Balcerkiewicz zachowywał się cicho. Malarz Jerzyński, przed którego domem podług zeznania Pfiztermana, stał wówczas Balcerkiewicz, widział także to zajście przed swoim oknem i właśnie Balcerkiewicza nie słyszał.

Również Kaliszewska, która stała w pobliżu, nic nie zauważyła. Jak stosownie zachowywał się

Balcerkiewicz, okazuje się z jej zeznania, które zresztą było jednobrzmiące z zeznaniem Pfitzermana, że Balcerkiewicz bez ociągania się, wymienił swoje nazwisko urzędnikowi i przytem zapytał, dlaczego go ten zapisuje, przecież on nic nie uczynił.

Czeladnik stolarski Karol Kaliszewski, który wskutek swojego wiarogodnego zeznania na żądanie prokuratora powołany został do złożenia przysięgi, stał wtenczas przez cały czas obok Balcerkiewicza i nic nie słyszał.

Czy wobec tych czterech zeznań może być miarodajnem odmienne zeznanie Pfitzermana, który z odległości 30 kroków miał słyszeć wyrażenie Balcerkiewicza: «Walcie go, złodzieja»?

Przypuszczam, że subiektywnie biorąc, zeznanie Pfitzermana niewątpliwie jest prawdziwe, że podówczas wzmiankowany okrzyk miał miejsce. Lecz Balcerkiewicz, jak dowiedziono, nie wołał.

Dlatego też, z powodu braku dowodów, proszę o uniewinnienie Zientka i Balcerkiewicza co do oskarżenia z art. 185 i 111 kod. karn.

Zresztą zastosowanie § 111 do okrzyków »walcie go«, które przecież w ustach prostych ludzi nie oznaczają nic więcej, jak wymysły, uważam za naciągane; jednak dla względów czysto praktycznych nie potrzebuję wdawać się w bliższe dociekanie w tym względzie, gdyż art. 111 punkt 1 w porównaniu do art. 185 wyznacza łagodniejszy wymiar kary.

Na tem kończą się moje wywody, o ile one dotyczą zajść z dnia 20 maja.

Pozostaje tylko w krótkich słowach jeszcze rozważyć zajścia z dnia 21 maja, o ile klienci moi brali w nich udział.

Wchodzi tu w grę Franciszek Korzeniewski, co do którego już przedtem wykazałem, że za popełnione przezeń wykroczenie przeciwko spokojowi publicznemu z powodu niezdawania sobie sprawy z karygodności czynu, powinien być wolny od kary, i nakoniec jeszcze — Antoni Chojnacki, który, podług zeznań Pfitzerinana, na drugi dzień miał jakoby wyrzec wyrazy: »Psia krew, łajdak, bijcie go«.

Chojnacki temu zaprzeczył; świadkowie, zeznający na jego korzyść, Józefa Lipińska i Paweł Teszner, nie szczególnego o nim nie mogli powiedzieć, prócz tego, że Chojnacki w dniu 21 maja był pijany.

Rozstrzygnięcie tego punktu powierzam sądowi, a zresztą wnoszę, ażeby 8 klientów moich od kar i kosztów uwolnić.

Streszczając moje wywody, zdaję na sąd kwestyę zastosowania do Franciszka Korzeniewskiego art. 360 i orzeczenia o odpowiedzialności Chojnackiego za czyny z dnia 21 maja, poza tem zaś wnoszę o zwolnienie moich ośmiu klientów od odpowiedzialności karnej i kosztów.

Mowa adwokata Wolińskiego.

Panowie sędziowie!

Nie wątpię, że niejeden z obecnych, usłyszawszy wnioski pana prokuratora co do niesłychanej po prostu wysokości kar, pomyślał sobie, że nawet bardzo doświadczony w procesach politycznych obrońca może stracić równowagę i spokój ducha. Takie przypuszczenie mogłoby się здаwać usprawiedliwionem, jeżeli zastanowimy się nad tem, że tu przeciw ludziom, którzy może przekroczyli granice prawem dozwolone, ale działali z najszlachetniejszych pobudek, zaproponowane zostały takie kary, jakie zwykle wymierzane są na zwykłych przestępców.

Lecz, jak wódza wśród walczących podczas grożącego niebezpieczeństwa nie powinny opuszczać zimna krew i przytomność umysłu, tak też i obrońca, w którego ręce oskarżeni złożyli swój los z zupełną ufnością, nie powinien ulegć żadnej słabości. W poczuciu tego obowiązku chcę próbować osłabić oskarżenie i wykazać niewinność oskarżonych.

Przy każdym karygodnym czynie powinna być podwójna zła wola (dolus), lub innemi słowy podwójna świadomość wykroczenia przeciwko prawu, a mianowicie: świadomość ogólna, która domniemywa się przy każdym czynie przestępnym, i zła wola szczególna, to jest świadomość konkretna, iż mianowicie dane, ściśle przewidziane w kodeksie karnym, wypadki sprzeciwiają się

prawu. O tej konkretnej złej woli już szczegółowo mówił kolega Türk i wyjaśnił poszczególne paragrafy prawa, na których prokurator chciał oprzeć swoje oskarżenie. Chcę jednomyślnie z szanownym kolegą mówić przedewszystkiem o złej woli w znaczeniu ogólnem.

Ażeby mógł sądzić, czy oskarżeni rozumieli, że ich postęпки sprzeciwiają się prawu, należy przedewszystkiem bliżej rozpatrzyć te przyczyny, które ich zniewoliły do tych postępków. Jak wykazało kilkodniowe śledztwo sądowe, sprawa rozegrała się na tle stosunków kościelno-szkolnych religijnego wychowania dzieci.

Jeżeli oskarżeni byli silnie przekonani, że udzielanie lekcyi religii w obcym języku, nie w ojczystym, sprzeciwia się zasadniczym podstawom Kościoła katolickiego, jeżeli, dalej, byli tego przekonania, że sposób, w jaki lekcyje religii w obcym języku u nas wprowadzono i przeprowadzono, jest niewłaściwy, niedopuszczalny i ze stanowiska moralnego niegodny, to nie może ulegać wątpliwości, że ludzie ci, przy swojej opozycyi przeciwko temu, nawet jeśli ta ostatnia tu i owdzie wykroczyła poza granice prawem dozwolone, we własnem mniemaniu wychodzili ze słusznego założenia i dlatego obcą im była świadomość bezprawia w ich postępowaniu.

Więc chodzi o to najpierw, czy lekcyje religii w obcym języku sprzeciwiają się zasadom Kościoła katolickiego, czy też nie. Wysoki sąd odrzucił mój wniosek o przesłuchanie obecnego tu,

w charakterze delegata arcybiskupa, kanonika Kreczmera, jako rzeczoznawcy. Postawione pytanie wkracza jednak w dziedzinę nauki Kościoła katolickiego i prawa kanonicznego. Mam więc możność i prawo nawet bez zasięgania opinii rzeczoznawcy zająć się bliżej rozważeniem tej kwestyi.

Co się tyczy nauki religii w ogólności, to nawet tak liberalny uczony prawnik, jak profesor prawa kanonicznego Hinschius, utrzymuje:

Jest zasadą katolickiego prawa kościelnego, że wszystkie przepisy o udzielaniu lekyi religii i wybór odpowiednich książek należy do wewnętrznych spraw Kościoła i podlega wyłącznie jego kompetencyi.

Sobór trydencki (sesya XXIV cap. VII) przepisuje wyraźnie, że nauka religii winna być wykładana dla ludu »secundum captum«, to jest według skali pojęć dziecka i »in lingua vernacula, vulgari«, t. j. w języku codziennym rodziców.

Zasadom tym zawsze hołdował Kościół katolicki i trzyma się ich po dziś dzień. To potwierdzili także: proboszcz Łabędzki i wikary Laskowski, gdy wyraźnie zeznali, że religia nie jest rzeczą pamięci, tylko serca i duszy, że zatem szczególnie w szkole ludowej powinna być wykładana tylko w języku ojczystym. Nawet w języku ojczystym nieraz bardzo trudno tak uprzystępnąć dzieciom zasadnicze prawdy wiary świętej, ażeby te zaszczerpiły się w ich sercach i duszy na całe życie, w obcym języku jest to absolutnie niemożliwe.

Wikary Laskowski, który przygotowuje zarówno polskie, jak i niemieckie dzieci do spowiedzi i komunii, mówi nam z własnego doświadczenia, że dzieci ogólnie dopiero po skończeniu lat dziesięciu zaczynają istotnie pojmować zasady wiary świętej. Jest to zatem zupełnie opaczna metoda, aby właśnie w tym niedojrzałym wieku utrudniać możność pojmowania dzieciom jeszcze przez to, żeby prawdy wiary wyklądać im w języku obcym.

Pan prokurator mówi, że jest także katolikiem i utrzymuje, jako taki, iż wie, że nie chodzi tu o żaden dogmat Kościoła katolickiego, że władza duchowna wyłącznie w naszej dyecezyi i tylko ze względu na dzieci polskiej narodowości wprowadziła taką praktykę i tej się trzyma. Chociaż jednak pan prokurator jest także katolikiem, to jednak, zdaje mi się, że nie jest on zbyt głęboko wtajemniczony w zasady Kościoła katolickiego i prawa kanonicznego. Przedewszystkiem widocznie pojęcie dogmatu jest dla niego niejasne.

Dogmat jest artykułem wiary; zasada udzielania dzieciom nauki religii w języku ojczystym jest kwestyą pedagogii kościelnej, kościelnej nauki wychowania.

Stanowczo i najuroczyściej muszę wystąpić przeciw twierdzeniom pana prokuratora, jakoby wyłącznie w naszej dyecezyi i tylko ze względu na dzieci narodowości polskiej duchowieństwo trzymało się wyżej wzmiankowanych zasad. Dygnitarze naszego Kościoła wnoszą się zbyt wy-

soko ponad podobne insynuacye, czuję się jednak zniewolonym do odparcia tego zarzutu, którego ostrze skierowane jest w pierwszej linii przeciw naszemu czcigodnemu arcybiskupowi, z tem większem oburzeniem, że pochodzi on z ust urzędnika państwowego, który piastuje bynajmniej niedrobnym i bardzo odpowiedzialnym urząd.

Jest rzeczą znaną, że podobne insynuacye są rozszerzane przez pewną część wrogo usposobionej prasy niemieckiej. Cel tej wstrętnej roboty widnieje wyraźnie, jak na dłoni; chcą oni skompromitować władzę kościelną w oczach rządu. Podsuwają myśl, że duchowieństwo tylko w naszej dycezyi i to ze względu narodowych a nie kościelnych, chce zaprowadzić takie urządzenia, jakie są w sprzeczności z pracą wszystkich innych biskupów katolickich w państwie niemieckiem. Rozsądny człowiek nic nie będzie sobie robił z podobnych bazgroł gazeciarskich, niepodobna bowiem niedostrzedz nieszlachetnej i niemoralnej ich sprężyny.

Jednakże, jeżeli podobne przypuszczenia mogą być postawione przez tak wysokiego urzędnika państwowego, jak przez pana prokuratora i to z okazji bardzo poważnego procesu sądowego, to oczywiście nie można go posądzać o jakieś uboczne intencye i trzeba wierzyć, że przemawia na podstawie głębokiego przekonania.

Człowiek mało wtajemniczony będzie uważał wyrażenie to, jako tem bardziej prawdziwe, gdy się dowie, że pan prokurator jest katolikiem. Dlatego tem większe jest niebezpieczeństwo, że bę-

dzie można wyrobić sobie fałszywy pogląd na zamiary naszej zwierzchności kościelnej.

Dlatego też, ażeby raz na zawsze położyć kres tego rodzaju fałszywej opinii, najwyraźniej i tak uroczystie, ażeby mój głos za pośrednictwem obecnego tu przedstawiciela prasy był słyszany daleko poza gmachem sądowym, z niezachwianą pewnością stwierdzam, że przypuszczenie pana prokuratora, jakoby udzielanie nauki religii w języku ojczystym nie było ogólną zasadą Kościoła katolickiego i było tylko zaprowadzone w naszych archidiecezjach: poznańskiej i gnieźnieńskiej, jedynie ze względu na dzieci narodowości polskiej — jest zasadniczo fałszywe.

Takie przypuszczenie jest dla naszej władzy kościelnej, szczególnie dla arcybiskupa, wprost obrażające, bo zawiera w sobie wyrzut, że nasza władza kościelna tylko ze względów narodowościowych przystosowuje i zaprowadza tu pewne podstawy, które zresztą w Kościele katolickim nie są powszechnie uznane i nie są zaprowadzone w innych dzielnicach; że zatem nasza władza kościelna tu w kraju nadużywa swojej władzy urzędowej dla celów narodowych, a więc politycznych.

Wbrew temu wszystkiemu zaznaczam, że katolicka władza kościelna, powszechna, wszechświatowa, nigdy i nigdzie nie daje się używać do celów polityczno-agitatorskich ani przez rząd, ani przez kogokolwiek innego.

Równouprawnienie wszystkich narodowości na zasadzie przykazania miłości bliźniego jest

jedną z najbardziej wzniosłych i świętych zasad Kościoła katolickiego.

„*Non es Judaeus neque Graecus — omnes enim vos unum estis in Christo*“ głosi odwieczna zasada Kościoła katolickiego i znaczy to, że w oczach Kościoła i jego zwierzchności, każda narodowość ma jednakowe prawo wymagania, by szanowano jej godność; że nikt nie powinien być nienawidzony, pogardzany, uciemniany lub prześladowany z powodu swej narodowości.

Na zasadzie równouprawnienia wszystkich ludów w obrębie Kościoła katolickiego opiera się nas szczególnie obchodzące prawo każdego narodu do używania swego języka, w tym zaś poszczególnym wypadku — prawo uczenia w języku ojczystym podstawowych zasad religii i moralności.

Tę zasadę wygłosił również w dzisiejszym dniu obrad sądowych wikary Laskowski z całą powagą i godnością, gdy zapewnił, że wszystkie dzieci bez różnicy narodowości, są równie blizkie sercu księdza katolickiego. Dlatego cieszy się on również zaufaniem i miłością dzieci niemieckich, jak to zaświadczył żandarm Pfitzermann.

Jako dowód, że i w innych dyecezyach państwa niemieckiego biskupi pochodzenia niemieckiego trzymają się tej samej zasady, którą chce nasz czcigodny arcypasterz i tu zastosować, powołuję się na list pasterski zmarłego księcia-arcybiskupa wrocławskiego Henryka Förstera z dnia 6 kwietnia 1873 roku, w którym czytamy: »Nauka religii wykładana po niemiecku byłaby niezrozu-

miała dla dzieci, mówiących po polsku i pozostawałyby bez wpływu na duszę i wolę i wówczas młodzież wzrastałaby bez zbawiennego wpływu religii.

Dlatego też poleca książę-arcybiskup duchowieństwu śląskiemu, ażeby nauka religii była wykładana tylko w języku ojczystym.

Dodać jeszcze należy, że nam, Polakom, zapewniono na kongresie wiedeńskim używanie naszego języka i swobodne wyznawanie naszej wiary. Niektórym się to może nie podoba, inni utrzymują, że powoływanie się na rozporządzenia królewskie nie warto jest szeląga, ponieważ są już przestarzałe: tym chcę zacytować dokument z czasów najnowszych, który może wywrze na nich głębsze wrażenie. Gdy w 1867 roku chodziło o wcielenie W. Ks. Poznańskiego do Północnego Związku Niemieckiego (Norddeutscher Bund), ówczesny prezydent poznański von Horn w dniu 30 stycznia 1867 roku wydał odezwę do ludności polskiej ówczesnego W. Księstwa, w której pomiędzy innemi umieszczone było, co następuje:

»Jest wolą naszego ukochanego króla, ażeby i nasza prowincya została wcielona do Związku północno-niemieckiego. Współobywatele polskiej narodowości! I wy macie pewną rację, by cieszyć się z tego powodu!

Nie uważajcie na podszepty tych, którzy utrzymują, że przynależenie do związku północnego niemieckiego byłoby szkodliwe dla waszej narodowości. Słuchajcie lepiej głosu naszego naj-

łaskawszego króla, którego ojcowskie zamiary dalekie są od tego, by mogły grozić waszej narodowości lub uszczuplać wasze prawa. Przez wcielenie do północnego związku niemieckiego nie straciecie ani waszego ojczystego języka, ani waszej religii.

I w północno-niemieckim związku pozostaniecie Polakami, pozostawiony wam będzie wasz język i wasze obyczaje i Kościołowi katolickiemu nie będzie odjęta dawna opieka i prawo swobodnego rozwoju. Nie wahajcie się zaufać sercu naszego najłaskawszego króla, serce to jest pełne miłości i dla każdego poddanego polskiej narodowości i daje wam rękojmię najtrwalszej opieki waszych praw i waszej narodowości!

Tę odezwę ogłosił ówczesny prezydent na wyraźny rozkaz króla. Są to więc również słowa królewskie i przyrzeczenia podobne jak w r. 1815.

Stąd też ludność polska naszej prowincyi, zarówno według tradycyi Kościoła, jak wskutek najuroczyściej zastrzeżonych praw i obietnic, czynionych nam aż do najnowszych czasów, rości sobie niezaprzeczone prawo do tego, ażeby ich dzieciom udzielano nauki religii w ich ojczystym języku.

Tego są zupełnie świadomi wszyscy polscy mieszkańcy naszej prowincyi, o tem wiedzą także doskonale mieszkańcy Wrześni.

Ci ostatni musieli się też czuć pokrzywdzeni w swych najświętszych prawach i uczuciach, gdy z dniem 1 kwietnia 1901 roku w wyższych oddziałach ich szkół ludowych zaprowadzono wykład

religii po niemiecku. Wszyscy byli głęboko rozgoryczeni z powodu doznanej niesprawiedliwości.

Już dawniej fantazyowano na ten temat i obecnie też próbowano dowieść, że wstręt ludu do nowych rozporządzeń nie jest naturalny, lecz sztucznie wywołany przez wpływy zewnętrzne. To utrzymują mianowicie świadkowie Winter i Koralewski, a prokurator podchwycił to natychmiast. Rzucono podejrzenie, że powodu rozgoryczenia ludności szukać należy w wiecu ludowym, który się odbył we Wrześni w dniu 16 maja 1901 roku, jako też w działalności wikarego Laskowskiego. Odnośne dowodzenia przytoczonych świadków zostały jednak rozbite w puch w ciągu obrad sądowych.

Co do wiecu ludowego zostało dowiedzione na mocy świadectwa posła do rady państwa, Głębockiego, że mówcy, którzy mówili o wykładzie nauki religii w języku niemieckim, nawet sam świadek, jakoteż i ks. prałat Stychel, zalecali zimną krew i radzili ludności, by starała się tylko na drodze legalnej o zniesienie tego rozporządzenia. Każda kolizja z prawem miała być tylko wodą na młyny naszych przeciwników, szczególnie hakatystów. Świadek kładł wyraźny nacisk na to, że wszystkie nasze wiece ludowe były przejęte tym duchem pokojowym.

Sztuczne środki w celu roznamiętnienia wieców ludowych nie udają się wcale.

Gdyby zgromadzenie wcale się nie odbyło, rozgoryczenie ludności wrzesińskiej ujawniłoby się niemniej wyraźnie, zresztą zostało dowiedzione,

że ludność zaraz po 1-szym kwietnia, a więc o wiele wcześniej przed wiecem ludowym była uświadomiona, że dzieci zaraz od początku wzbra-
niały się uczyć religii po niemiecku i za to okru-
tnie były karane.

Co do wikarego Laskowskiego, powołano się na zeznania trojga dzieci. Dzieci te naturalnie na żądanie inspektora szkolnego Wintera i nauczyciela Koralewskiego miały powiedzieć, że wikary zakazał im odpowiadać na lekcji religii po niemiecku. Gdy to jednak doszło do wiadomości proboszcza Łabędzkiego, ten, jako przełożony ks. Laskowskiego, uważał za swój obowiązek zbadać rzecz na miejscu, i dzieci odpowiedziały wówczas w obecności kilku godnych szacunku i poważanych obywateli, jak pp. Franciszek Koczorowski i Ludwik Nowakowski z Wrześni, jakoteż proboszcz Poturalski z Winnogóry, że na naleganie inspektora szkół i nauczyciela ze strachu powiedziały nieprawdę. To samo dzieci zeznały w sądzie. Okoliczność ta jest zupełnie naturalną. Dzieci te wiedziały, że inne dzieci już zostały surowo ukarane, więc gdyby one przyznały się do tego, że z własnego popędu nie chciały udzielać odpowiedzi w języku niemieckim, czekałaby je również surowa kara; jest więc zrozumiałe, że pragnęły one uwolnić się od wszelkiej odpowiedzialności. Na podchwytujące pytania inspektora szkolnego i nauczyciela: »Nieprawdaż, że to wam kazał czynić wikary?« odpowiedziały dzieci półgłosem: »tak«, jak gdyby dzieci wobec surowych nauczycieli na

każde inne dowolne pytanie, którego doniosłości zresztą wcale nie rozumiały, również nie byłyby odpowiadały »tak«. Biedne dzieci nie miały pojęcia o tem, jaką boleść sprawiły tem wikaremu Laskowskiemu i na jakie przykrości narażają go w przyszłości. Uczeń Bączkiewicz próbował nawet tem usprawiedliwić się, że wikary Laskowski nauczył go tego przy spowiedzi w ostatnią sobotę. Tymczasem okazało się, że wzmiankowany uczeń tego dnia wcale nie był u spowiedzi.

Lecz teraz następuje coś niesłychanego!

Pomimo, że dzieci odwołały swoje pierwotne zeznanie i ta okoliczność była znana zarówno inspektorowi, jak i nauczycielom, pomimo, że uczeń Bączkiewicz został ukarany w szkole za swoje kłamstwo, ci panowie nie lękali się w swoich o wiele późniejszych raportach, składanych rządowi, powoływać się na zeznania dzieci i przedstawić wikarego Laskowskiego, jako duchowego sprawcę zaburzeń.

Wikaremu Laskowskiemu wyrządzili tem bardzo ciężką krzywdą, ponieważ tenże skutek rzeczonych denuncyacyi na żądanie władzy państwowej powołany został do odpowiedzialności przez swoją najwyższą władzę kościelną. Naturalnie, że zarządzone śledztwo wypadło w zupełności na jego korzyść.

Chyba nie potrzebuję kłaść nacisku na to, że dzieci napewno powiedziały prawdę proboszczowi Łabędzkiemu, bo mogły to uczynić bez obawy chłosty cielesnej.

Ostatecznie powinno umilknąć wszelkie powątpiewanie co do potwierdzonego przez przysięgę zeznania wikarego Laskowskiego, który wyraźnie udowodnił, że nigdy nie zalecał dzieciom, by nie odpowiadały na lekcyi religii i nie podnosiły palców do góry.

Wiedziałem doskonale — oświadczył ks. Laskowski — że rodzice lub dzieci pytać się będą, jak się mają zachować wobec nowych rozporządzeń, dlatego zastanowiłem się dokładnie nad tem, co mam odpowiedzieć. Jako ksiądz katolicki, nie mogłem im zalecać, ażeby się uczyły religii po niemiecku, bo to się sprzeciwia przepisom Kościoła katolickiego, nie mogłem im także przykazywać tego, co się sprzeciwia mojemu sumieniu, nie mogłem wrzeszcie zabronić, bo wiedziałem, co mnie za to czeka — zalecałem im więc, ażeby się zwróciły do nauczyciela Koralewskiego i prosiły go, żeby nauczyciele odwołali się do rządu o cofnięcie tego rozporządzenia.

Wikary Laskowski działał tak, jakby musiał działać na jego miejscu każdy ksiądz katolicki. Dzieci postąpiły podług jego wskazówek i prosiły nauczyciela, jak on sam przyznaje, ażeby im napisał adres rządu, by rodzice mogli wnieść zażalenie. Koralewski też napisał im kredą na tablicy adres rządu, jak sam to przyznaje.

Tym sposobem nie udało się świadkom Winterowi i Koralewskiemu dowieść ks. wikaremu, by buntował dzieci i ich rodziców.

Ażeby dowieść, że nie jest on godzien wiary,

utrzymują oni, że ks. wikary jest wrogiem niemieckich katolików. I ta sztuka im się nie udała. Zeznania proboszcza Łabędzkiego i żandarma Pfitzermanna dowiodły, że wikary cieszy się szczególną sympatją dzieci niemieckich, że w Wieleniu założył bibliotekę dla katolików niemieckich i do dziś utrzymuje z niemieckimi katolikami w Wieleniu ożywioną korespondencję, że również i we Wrześni założył dla niemieckich katolików bibliotekę, która przedtem nie istniała.

Wszystkie próby, ażeby przedstawić niezadowolenie obywateli wrzesińskich, jako sztucznie wywołane przeciw rozporządzeniom rządowym, trzeba uważać za zupełnie chybione.

To wzburzenie jest objawem zupełnie naturalnym i porusza najgłębsze struny duszy ludzkiej. Najlepszym dowodem tego jest zachowanie się Gadzińskiej, żony posługacza szkolnego. Jej zeznanie musiało czynić wrażenie na każdym, bez względu na narodowość, i to w sposób wzruszający i rozbrajający. Gdy przewodniczący zwrócił się do niej z zapytaniem, czy nie jest to obojętne, w jakim języku wykładają religię, odpowiedziała z zupełnem przekonaniem i ze łzami: »Boże ucho-
waj! Dzieci nie rozumieją niemieckiego wykładu religii; dla nas, dla ludzi prostych, w religii spoczywa jedyna pociecha, jedyna nadzieja lepszej przyszłości; dla nas religia jest całym naszym majątkiem! Dopóki udzielano lekcyi religii po polsku, mogłam wiedzieć, czego się dzieci uczą i to była jedyna moja radość, gdy wieczorem gromadziłam

dzieci wokoło siebie i mogłam z niemi powtarzać katechizm i historję świętą. Serce mi biło żywiej, bośmy się rozumieli. Dziś ani ja, ani dzieci nie rozumieją tego, czego się uczą«.

To są święte i prawdziwe słowa! Słowa te zawierają całą społeczną politykę naszego narodu, opartą na podstawie religijnej.

Niech się państwo strzeże przed tem, by nie przeciwdziałać tym poglądom ludu, bo wtenczas, jak słusznie zauważył p. Treskow, wychowa sobie socyalnych demokratów! Niezawodnie, dziś ślepa nienawiść niektórych Niemców tak daleko się posunęła, że wolą oni socyalnego demokratę, niż Polaka.

Jest obowiązkiem państwa i leży w tem jego własny interes, by wychować dobrych obywateli kraju, którzyby tworzyli barykadę przeciw anarchistycznym dążeniom do przewrotów; takich obywateli można wychować tylko na podstawie religijnej.

Jest to zła przysługa, jaką się rządowi wyświadcza, jeżeli się czyni kroki w tym kierunku, by unicestwić wiarę i moralność wśród ludu. Jeżeli państwo będzie musiało w przyszłości odpowiadać za złe owoce tej polityki, to my temu nie będziemy winni.

I nauczyciele — jestem o tem głęboko przeświadczony — dokładnie rozumieją, że polskie dzieci nie odnoszą korzyści z niemieckich lekcji religii. Koralewski powiedział do proboszcza Kirszta z Grabowa: »Otwarcie mówiąc, jestem także

za wykładem nauki religii w języku ojczystym«. Nie zaprzecza on temu, że słowa te powiedział, tylko nie chce ich sobie dokładnie przypomnieć.

Nauczyciel Pohl zaraz po zajęciach 20 i 21 maja powiedział do ajenta Szwarca z Wrześni: »Nie mam tego za złe ani dzieciom, ani rodzicom, że sobie życzą, by im wykładano nauki w języku dobrze im znanym, a przede wszystkim naukę religii. Jabym także nie chciał, żeby moje dzieci uczyły się po polsku«. Pan Pohl nie zaprzecza temu, że tak mówił, ale nie chce sobie przypomnieć dokładnie treści tego, co mówił. Nawet sąd uznał moje twierdzenie za prawdziwe.

Jest to zupełnie naturalne, że nauczyciele postrzymują się od wypowiedzenia swego zdania. Nie mogą oni szczerze wypowiedzieć swego zdania, nie krytykując zarazem rozporządzeń rządowych. Musieliby także wyrzec się nadziei otrzymania za skuteczne wbijanie w głowy malców języka niemieckiego nagrody pieniężnej, które tutaj wypłacają nauczycielom i które są uważane przez jedną z gazet, poświęconych sprawom szkolnictwa, po prostu za przekupstwo.

Koralewski przyznaje, że otrzymywał już nie raz taką nagrodę i to w dość znacznych kwotach, nie dziwnego, że jest ostrożny w wypowiedaniu swego osobistego zdania.

Nie tylko samo rozporządzenie, ale i sposób wykonania go musiał ciężko dotknąć rodziców wrzesińskich.

Dowiedzione zostało, że sami nauczyciele użyli

środków zbyt sztucznych i przewrotnych, ażeby uczynić dzieci uległymi.

Wmawiano w dzieci, jak się to okazało dzięki zeznaniu Gadzińskiej, że arcybiskup jakoby zezwolił na wykład nauki religii po niemiecku, bo udzielił swego »imprimatur« dla książek niemieckich.

Jest to karygodny sposób przedstawiania fałszywych faktów, ze wszech miar godny potępienia. Arcybiskup w znanym liście do przewodniczącego położył wyraźny nacisk na to, że nigdy nie aprobował nauki religii w języku niemieckim dla dzieci polskich, że »imprimatur« oznacza jedynie to, że dana książka nie zawiera nic niezgodnego z religią katolicką.

Dla uspokojenia sumienia naszego ludu kładę na to wyraźny nacisk, bo i w innych szkołach rozszerzają podobne baśnie, co może zachwiać zaufanie do władzy duchownej. Władza kościelna, rozumie się samo przez się, nie może nigdy dawać takiego zezwolenia, gdyż byłaby w niezgodzie z głównymi podstawami działalności Kościoła katolickiego. Kapłan katolicki nie pozwoli się nigdy użyć za narzędzie do innych celów, bez względu na to, że mogłoby mu grozić największe prześladowanie.

Starano się jeszcze i w inny sposób dzieci obalamucić. Nauczyciel Schölzchen wmawiał w dzieci, że jest to zupełnie obojętne, w jakim języku będą się uczyły religii. Z religią to tak, jak z mlekiem — wszystko jedno, czy się mleko pije ze szklanki,

czy z filiżanki, mleko zawsze pozostanie mlekiem. Dziwię się, jak nauczyciel co do religii może używać takich trywialnych porównań; pominąwszy śmieszność takiego porównania, można wskutek tego rodzaju porównań w umyśle dziecięcym podkopać cały szacunek dla religii. Albo dalsze wyjaśnienia Schölzchena, że i młodzi księża muszą się uczyć w symnaryum religii po łacinie, a przecież pozostają dobrymi katolikami, oraz, że papież jest również dobrym katolikiem, chociaż nie mówi po polsku — wszystko do dowodzi braku taktu, nieznamomości zasad pedagogiki, dziwię się, że zwierzchność szkolna nie zapobiegnie takiemu rodzajowi wykładów. Jeżeli nauczyciele starają się wpływać na dzieci przy pomocy takich wykrętów i podstępów, to jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że rodziców rozgorycza to do głębi.

Podstawy nauki wiary są zbyt święte i posiadają zbyt wielką wagę dla przyszłości dzieci, ażeby wolno było w obecności dzieci tak lekko je traktować.

Wrzesińscy nauczyciele posunęli się jeszcze dalej. W dwu najniższych klasach, w których nawet podług przepisów rządowych nauka religii odbywa się po polsku i gdzie dzieci powinny odmawiać modlitwę poranną po polsku, w rzeczywistości odmawiano ją po niemiecku, jak o tem świadczą Koralewski i Schölzchen.

Czyż to nie jest wprost oburzające, ażeby dziecko, które zaledwie wstąpiło do szkoły, musiało nagle odmawiać w obcym języku modlitwę,

której się nauczyło w domu rodzicielskim? Koralewski sam odczuwał całe bezprawie i niestosowność tych środków, gdyż dopiero na moje natarczywe pytania ostatecznie został zniewolony do wykrztuszenia odpowiedzi, że to się stało wskutek rozporządzenia rektora Foedtkiego. Więc już doszło do tego, że rektorzy, bez wiedzy i wskazówek rządu, na własną rękę szerzą tendencje germanizatorskie w dziedzinie nauki religii.

Nie dziwnego, że nauczyciele starają się prześcignąć rektora w gorliwości. Musieli oni sami wskutek moich pytań przyznać się do tego, że podczas wykładów języka niemieckiego uczyli dzieci z najniższych oddziałów, które nawet religii powinny się były uczyć po polsku, zmuszali do uczenia się takich rzeczy, które wyłącznie odnoszą się do nauki religii, np. rozdziały z historii świętej. Koralewski starał się tem usprawiedliwić, że miał on na względzie jedynie postępy w nauce języka niemieckiego. To przyznanie się nauczyciela Koralewskiego jest nader cenne. Chcą w nas wmówić, że nauka religii w szkołach ludowych nigdy nie jest wyzyskiwana dla celów germanizacyjnych, a więc politycznych. Tymczasem tutaj zupełnie jasno dowiedzione zostało, że rzecz się ma przeciwnie, że po prostu używają nauki religii w tym właśnie celu.

Cel takiego używania, a raczej nadużycia, mamy przed oczami. Przy egzaminach i wizytacjach mogą potem nauczyciele popisywać się przed wizytatorami rządowymi postępami dzieci w nauce

języka niemieckiego; następnie zaś uważa się już za dowiedzione, że dzieci dostatecznie rozumieją po niemiecku, ażeby móżdż przetrwać niemiecką naukę religii.

Rząd używa dwojakich środków przy zaprowadzaniu nauki religii w języku niemieckim. Jako podstawa, służy referat wizytatora szkolnego, albo też sprawozdanie rektora lub nauczycieli. Skoro tylko rada szkolny usłyszy wyuczone odpowiedzi niemieckie na pytania starannie dobierane przez nauczycieli, już uważa to za dostateczną znajomość języka niemieckiego. Rzecz prosta jednak, nie wie on o tem, w jak mechaniczny sposób dzieci zostały do tego przygotowane. »Sławetne sprawozdania« nauczycieli wypadają zawsze pomyślnie dla przypuszczalnych widoków rządu. Im gorliwsze sprawozdanie, tem większe prawdopodobieństwo otrzymania nagrody pieniężnej.

A więc, czy jest prawdą, że dzieci znają dostatecznie język niemiecki?

Obecne doświadczenie przekonało nas najlepiej, że rzecz ma się wręcz przeciwnie. Pan przewodniczący sam uznał, że z niemieckich odpowiedzi dzieci nic nie można wywnioskować i sam zarządził, by wezwano tłumacza. A tu chodziło tylko o dzieci z wyższych klas, gdzie już zaprowadzono naukę religii po niemiecku i gdzie podług zeznań inspektora szkolnego okręgowego i nauczyciela Koralewskiego, dzieci tak dobrze posiadają język niemiecki, że w zupełności są

w stanie zrozumieć najtrudniejsze prawdy wiary. Czy to nie prawdziwe szyderstwo?

Gdy na żądanie sędziego zapytano Koralewskiego, dlaczego dzieci, które podobno doskonale posiadają język niemiecki, nie są w stanie odpowiadać przed sądem po niemiecku, odpowiedział, że jest to z ich strony nikczemność.

Przewodniczący uczuł się sam zmuszony zauważyć, że składanie zeznania pod przysięgą nie jest drobnostką nawet dla dorosłych ze względu na odpowiedzialność i że dlatego trzyma się tej zasady, ażeby polskich świadków, którzy niedostatecznie znają język niemiecki, przesłuchiwać przy pomocy tłumacza, w każdym zaś razie przysięgę odbierać po polsku.

Jeżeli więc przewodniczący słusznie uważa świadectwo przed sądem za tak ważne, ponieważ jest ono rzeczą sumienia, od którego często zależy honor i godność pojedynczych osób, i jeżeli trzyma się tej zasady, że świadectwo pod przysięgą sumiennie może być złożone tylko w języku ojczystym, to przecież tembardziej nauka religii nie polega na mechanicznem powtarzaniu wyrażań, ale jest rzeczą sumienia, gdyż od tego zależy cała przyszłość dziecka i zbawienie jego duszy.

Brak dostatecznej znajomości języka niemieckiego, a nie nikczemność, jest powodem, że dzieci nie mogły odpowiadać po niemiecku. Niech pan to zapamięta, panie Koralewski! Zdaje się, że masz pan piękną metodę wychowywania. Co-byś pan na to powiedział, gdyby ojciec lub matka

zawołała do pana z pośród publiczności: »Panie Koralewski, pan popełniasz większą nikczemność, obchodząc się w ten sposób z naszymi dziećmi tu przed sądem!»

Pobudki pańskiego postępowania są zupełnie jasne. Pan chcesz przekonać świat cały, a w szczególności obecnych tu reporterów, o wstręcie dzieci do nauki języka niemieckiego. Ale się to panu nie udało, bo nawet przewodniczący dał panu naukę z tego powodu!

Nie mamy absolutnie nic przeciwko nauce języka niemieckiego jako takiego i wrzesińscy obywatele wcale nie chcą jej usunąć. Pani Pia-secka wyraziła się zupełnie w tym duchu do inspektora szkolnego, gdy powiedziała: nie mieli-byśmy nic przeciwko wykładowi języka niemieckiego, tylko nauka religii po niemiecku jest dla nas wstrętne. Ujawniła ona nawet bardzo lojalne usposobienie, zapytując, czy to cesarz niemiecki kazał uczyć religii po niemiecku? W jej prostym umyśle nie mogło się pomieścić, jak to mogło się stać, ażeby ten sam cesarz, który tak często dowodzi, że chce w równej mierze opiekować się swoimi poddanymi, bez różnicy wyznań i narodowości, mógł zgodzić się na coś podobnego. Mogła więc ona tylko przypuszczać, że to niższe władze na własną rękę, bez wiedzy cesarza, wydały odnośne rozporządzenia. Te same przekonania mają zapewne i inni obywatele wrzesińscy.

Zbliżam się do ostatniej części mych wywodów ogólnych, a mianowicie do drastycznej i do-

tkliwej metody uprzystępniania dzieciom nauki religii w języku niemieckim — to znaczy do chłosty cielesnej.

Zostało dowiedzione, że oprócz chłosty pojedynczych dzieci, jak to się często zdarzało przed 20-ym maja, trzy razy odbyła się chłosta zbiorowa większej ilości dzieci, a mianowicie dwa razy przed dniem 20-ym maja i wreszcie raz w dniu 20-ym maja i właśnie ta ostatnia zbiorowa chłosta stała się bezpośrednią przyczyną rozpaczyny rodziców, których wskutek tego uważano za właściwe posadzić na ławie oskarżonych.

Nie jestem fachowym pedagogiem, lecz nawet jako człowiek niewtajemniczony pojmuję dobrze, że taka zbiorowa egzekucya nawet w granicach dozwolonych do głębi musi poruszyć każdego, kto nie bierze w niej udziału; trzebaby nie mieć serca, ażeby tego nie pojąć.

Wyobraźcie sobie panowie gromadkę czternaściorga małych dzieci, które kolejno wyprowadzane są do drugiego pokoju na ławę kary. Pominawszy fizyczny ból, będziecie mogli żywo sobie przedstawić moralne tortury tych dzieci, które w strachu i niepokoju musiały czekać na swoją kolej i to jeszcze w obecności surowego inspektora szkolnego i kilku nauczycieli. Takie postępowanie nie odpowiada z pewnością pedagogicznemu zasadom. Pojmuję, że w szkole nie może się obejść bez kary cielesnej, lecz powinna się ona odbywać — jeżeli już koniecznie jest potrzebna — z uwzględnieniem wszelkich zasad etyki wycho-

wawczej i bez obrażania godności ludzkiej. Okrutne postępowanie w szkole wrzezińskiej musi oburzyć każdego uczciwego człowieka.

Jestem prawie przekonany, że z pomiędzy osób, zebranych w tej sali sądowej, żaden z ojców i żadna z matek, bez względu na wyznanie lub narodowość, nie byłiby w stanie przejść spokojnie około lokalu szkolnego, gdyby wiedzieli, że tam dzieci ich w tak straszny sposób są chłostane. Każdy z nas uważałby się za uprawnionego do tego, by wejść do szkoły i zażądać tłumaczenia od inspektora okręgowego i nauczycieli. I czyby każdy z nas nie czuł się wprost obowiązany do przeszkodzenia temu, dowiedziawszy się, że dzieci są karane z tego powodu, że na bezpośredni rozkaz rodziców zachowywały się biernie wobec nauki religii w obcym języku?

Nauczyciel powinien był zastanowić się nad tem, że tu jest zatarg pomiędzy posłuszeństwem, należnem rodzicom a karnością szkolną. Sumienny pedagog byłby w tym razie tak postąpił, jak rektor pewnej szkoły miejskiej w Poznaniu, który uważał za swój obowiązek pierwszej rozmówić się w tym względzie z rodzicami.

Bić dziecko z tego powodu, że słuca rozkazów rodzicielskich, jest niedopuszczalne, ponieważ dziecko nie jest w stanie osądzić, kogo ma słucać w tym razie, czy rodziców, czy nauczycieli. Pod tym względem nawet znakomici pedagodzy różnią się w poglądach między sobą.

W tym razie kwestya nie nasuwa prawie

żadnych wątpliwości, jeżeli zważymy, że rodzice zabronili brać udział w nauce religii po niemiecku, nie przez upór lub lekkomyślność lecz na podstawie głębokiego przekonania, że w przeciwnym razie ciężko zawiniliby względem Boga i własnego sumienia.

Kwestya byłaby już sama przez się dosyć drażliwa, gdyby nawet chłosta odbywała się tylko w granicach dozwolonych. Ale tak zupełnie nie było. Wielu świadków przekonało się o tem naocznie, że chłopcy Nowaczewski i Jerszyński, opuszczając szkołę, mieli tak silnie zbite i opuchnięte ręce, że nie mogli ich zamknąć.

Dr. Krzyżagórski, jako rzeczoznawca, zaopiniował, że w dniu 20 maja przynajmniej względem czworga dzieci przekroczono prawnie dozwoloną granicę chłosty. Niektóre dzieci musiały w ciągu kilku dni leżeć w łóżku, gdyż nie były w stanie siedzieć w szkole.

Jest to zupełnie zrozumiałe, jeżeli się pomyśli, że człowiek tej tuszy, co Schölzchen, wymierzał dzieciom po 8 razów po rękach i siedzeniu trzecią, mającą przeszło metr długości. Przypatrzcie się państwo temu człowiekowi, a zrozumiecie, że te razy, które wymierzył, nie były na żarty, tylko bardzo silne i bolesne; tembardziej, że nauczyciel był bardzo zirytowany i że chłosta odbywała się w obecności inspektora szkolnego, który, jak sam o tem mówi, chciał przez to dać odstraszający przykład.

Reskrypt gabinetowy z dnia 14 maja 1825 r.

mówi wyraźnie, że »chłosta nawet w najmniejszym stopniu nie powinna wywierać szkodliwego wpływu na zdrowie dzieci«.

Próbowano kwestyonować wiarogodność każdego świadka obrony, którego zeznania mogłyby być niedogodne dla władz szkolnych; chciano także powątpiewać o wiarogodności dra Krzyżagórskiego. Ale to się zupełnie nie udało.

Opinia dra Krzyżagórskiego została potwierdzona przez lekarza okręgowego dra Michaelsohna, który przypuszcza, że ślady chłosty, zauważone przez dra Krzyżagórskiego i innych świadków, w każdym razie utwierdzają go w przekonaniu, że w wielu wypadkach legalna granica chłosty została przekroczona. Dr. Krzyżagórski był nawet bardzo powściągliwy w dawaniu opinii, przyznał tylko u czworga dzieci przekroczenie prawa chłosty, chociaż i u dziesięciu pozostałych można było znaleźć ślady bardzo silnych uderzeń.

Zbliżam się do zakończenia ogólnej części moich wywodów.

Rodzice wiedzieli, że podług zasad Kościoła katolickiego religia powinna być wykładana w szkołach ludowych w języku ojczystym — wskutek tego musieli mieć to przekonanie, że zgrzeszyliby ciężko przeciwko Panu Bogu i własnemu sumieniu, gdyby się zgodzili bez zastrzeżeń na zaprowadzenie nauki religii w języku niemieckim. Następnie widzieli oni, w jak nietaktowny sposób i obrażający ich najświętsze uczucia nauczyciele zachowywali się przy udzielaniu wykładu religii

po niemiecku. Ich uczucia rodzicielskie zostały poruszone jak najsilniej przez bezprzykładną i niepomierną egzekucję z dnia 20 maja. Nie ulega zatem żadnej wątpliwości, że nawet, jeżeli swoje wielkie oburzenie wyrażali w sposób przekraczający granice, dozwolone przez prawo, to jednak zupełnie nie zdawali sobie sprawy z tego, że popełniają czyn karygodny. Stąd więc, przedewszystkiem powinni oni być wolni od najcięższego oskarżenia o wywołanie buntu i zakłócenie spokoju publicznego.

Zgromadzenie przed szkołą w dniu 20 maja powstało, jak już dowiedzione zostało, bez uprzednio powziętego zamiaru dokonania gwałtu na gmachu szkolnym i na nauczycielach; nikt nie miał również zamiaru przy pomocy pogroźek i t. p. przeszkodzić nauczycielom w pełnieniu czynności urzędowych. Ludzie po prostu zgromadzili się przed szkołą, gdy usłyszeli płacz katowanych dzieci; ich obecność miała charakter niemego protestu przeciwko tego rodzaju środkom. Poza tem, tak zwane zbiegowisko ludzi składało się po większej części z dzieci i pewnej liczby ciekawych. O tem mówił już szanowny mój kolega i do tego powrócę jeszcze później.

Przechodząc do specjalnej części moich dowodzeń, pragnę wykazać, w jakiej mierze określić można winę lub niewinność tych oskarżonych, których obrona, za zgodą moich kolegów, mnie została powierzona.

W zupełności zgadzam się z kolegą Türkem

który przekonywająco dowiódł i na podstawie śledztwa sądowego prawnie wykazał, że zupełnie nie może być mowy o zarzuconych przez urząd prokuratorski ciężkich przewinieniach w rodzaju zakłócenia spokoju publicznego, wywołaniu buntu, usiłowaniach w celu przeszkodzenia urzędnikom w pełnieniu przez nich czynności urzędowych. Mógłbym po prostu powołać się na jego dowodzenia, pozwolę sobie dodać następujące uwagi.

Pan prokurator sam położył nacisk na to, że pojęcia oskarżonych o dozwolonych granicach sporu w sprawie zaprowadzenia wykładu religii w języku niemieckim, były tak niewyraźne, że nie byliby oni w stanie pojąć tych delikatnych różnic. Cieszy mnie ten pogląd pana prokuratora, dziwię się jednak, że, będąc zupełnie konsekwentnym, pan prokurator nie wniósł zarazem prośby o ich uniewinnienie. Jego oświadczenie się za skazaniem oskarżonych wydaje mi się nielogiczne. Kto działa w tem przekonaniu, że nie przekracza granic prawa, albo kto nie zdaje sobie sprawy z tego, że postępuje wbrew prawu, temu — rzecz oczywista — brak poczucia świadomości co do tego, że jego postępowanie jest karygodne i ten powinien być uniewinniony już na podstawie tego ogólnego, prawnego punktu widzenia.

Kolega Türk słusznie zauważył, że po zeznaniu starszego wachmistrza Eichlera wszyscy oczekiwali tego, że pan prokurator uczyni wniosek o uniewinnienie oskarżonych.

Podług świadectwa Eichlera, przed szkołą

znajdowało się około 200–300 osób, głównie dzieci, niedorostków i kobiet i tylko niewielka liczba dorosłych mężczyzn. Był to więc taki tłum, jaki w każdym mieście zbiera się przy pierwszej lepszej sposobności.

Podług zeznania Eichlera dorośli na jego wezwanie po większej części zaraz się rozeszli, tylko dzieci oddaliły się na niedaleki dystans, jak zazwyczaj dzieci, i znów wracały z powrotem i to nie były tylko dzieci polskie, lecz również i niemieckie i żydowskie.

Główny hałas zaczął się dopiero wtedy, gdy Winter pokazał się na ulicy po skończonej egzekucyi; do tej chwili, według zeznania Eichlera, było zupełnie spokojnie.

Ruch uliczny zupełnie nie był powstrzymany, a o godzinie 2-giej panował już zupełny spokój. Dopiero o godz. 4-ej, gdy dzieci wracały z popołudniowych lekcji, widziano znów kilku ludzi na ulicy, jednakże o wiele mniej, niż przed południem. Po południu byli wprowadzili głównie dorośli, lecz stali oni w drzwiach swoich domów, lub wyglądali przez okna. Do aresztowań nie miała policja żadnego powodu.

Jedynym człowiekiem, który zakłócił spokój publiczny, mógł być Winter, gdyż zupełnie niepotrzebnie zażądał od policyjanta Kozłowicza, aby ten dobył pałasza. Kozłowicz okazał jednak więcej rozwagi, niż Winter, i zauważył, że zna swoją instrukcyę i że nie widzi powodu do zdobycia broni.

Wachmistrz miejski Knappe zeznał również, że na ulicach wałęsały się przeważnie dzieci; niewielka liczba dorosłych rozeszła się bez oporu wskutek jego zawezwania, tak, że absolutnie nie miał on żadnego powodu do energicznego wystąpienia.

Tak wygląda całe zajście, podług opisu urzędników policyjnych i żandarmów, którzy się najwięcej troszczą o spokój i porządek.

Wobec tego, zeznania nauczycieli i inspektora szkolnego muszą tracić na znaczeniu; ci panowie, jak sami zaznaczają, byli przejęci strachem, a wiadomo, że strach ma duże oczy.

Tylko jeden nauczyciel Pohl był bardzo wesoły i rozbawiony; wesoło przeszedł sobie przez tłum i udał się do restauracyi, był ogromnie rozbawiony i kazał sam ludziom krzyczeć: hura!

Położenie nie mogło być tak niebezpieczne, jeżeli Pohl brał je ze strony tak humorystycznej. Winter także nie miał powodu do strachu, gdy po skatowaniu 12 dzieci w towarzystwie wachmistrza Kozłowicza mógł przechodzić przez tłum tam i z powrotem bez żadnej przeszkody.

Ogólnie położenie można określić w ten sposób, że ludzie zatrzymali się przed domem szkolnym po części z ciekawości, po części w tym celu, by uczynić demonstracyę przeciwko nauczycielowi Koralewskiemu, lecz bez najmniejszego zamiaru popełnienia jakiegokolwiek gwałtu.

Nawet Knappe mówi, że wszystko odnosiło się do Koralewskiego i Eichler również utrzymy-

wał, że dla niego byłaby bardzo pożądana zmiana powietrza, gdyż we Wrześni stał się on niemożliwym.

Co się tyczy poszczególnych oskarżonych, mam do nadmienienia, co następuje:

1) Rozalia Pawlicka, podług oskarżenia, znajdowała się wśród tłumu; na rozkaz Eichlera nie zaraz oddaliła się i nie chciała wymienić swego nazwiska.

Z tych okoliczności wnioskuje pan prokurator, że ona z rozmysłem brała udział w buncie, którego występne zamiary były jej znane. Tymczasem dowiedzione zostało, że Pawlicka kupowała mydło i zatrzymała się, gdyż nie mogła w tłumie posunąć się dalej. Eichlerowi nie odpowiedziała, ponieważ nie rozumie po niemiecku, tymczasem na zawezwanie Kozłowicza, wypowiedziane po polsku, zaraz się oddaliła.

2) Aleksander Wiśniewski miał zawinić przeciwko art. 360, punkt 11 kodeksu karnego, ponieważ zapomocą krzyków zakłócał spokój publiczny. Prawda, że wdrapał on się na parkan, ażeby móżdż lepiej zobaczyć i raz jeden zawołał: hura, lecz na rozkaz Eichlera natychmiast zszedł z parkanu i uciekł.

3) Jakób Sierakowski, idąc do roboty, znalazł się również wśród tłumu. Żandarm Pfitzerman zawezwał go podobno 3 razy, żeby się oddalił, t. j. 2 razy po niemiecku, a za trzecim razem po polsku. Sierakowski nie rozumie po niemiecku, nie mógł też zrozumieć pierwszych roz-

kazów, ale trzeciego usłuchał i wymienił również swoje nazwisko.

4) Helena Bednarowicz z domu Jerzykiewicz podówczas była jeszcze panną. Ta młoda dziewczyna, jak zeznały jej przyjaciółki: Niemirowicz i Iwińska, szła właśnie do swej ciotki, która mieszka obok szkoły. Zatrzymała się przy drzwiach wchodowych wraz z innemi, ażeby zobaczyć, co się stało. Była pogodna i wesola i nie miała żadnego pojęcia o tem, by tu chodziło o jakąś ważną sprawę. Na zapytanie Pfitzermana wprowadzie nie wymieniła swego nazwiska, ale dlatego, że przypuszczała, iż Pfitzerman musi je znać; na jego rozkaz, ażeby poszła do domu, odpowiedziała, że przecież znajduje się w domu, i mogła to słusznie powiedzieć, bo stała przy wejściu do domu swojej ciotki. Ona też wogóle nie interesowała się zupełnie tą całą historią, ponieważ nie miała nikogo blizkiego pośród dzieci uczęszczających do szkoły.

5) Franciszek Musielak (liczący lat 17) wszedł wprowadzie do szkoły, lecz z pewnością nie w celu dokonania gwałtu. Jego młody wiek, ta okoliczność, że widział on, jak inni wchodzili, pozwalają przypuszczać napewno, że nie pojmował nawet tego, że popełnia czyn karygodny. Ostatecznie winą jego nie może być wielką, jeżeli pan prokurator był tego zdania, że kara, na którą zasłużył, pokryta została przez ten areszt, który odsiedział w ciągu śledztwa pierwiastkowego.

6) Walenty Maciejewski. Co do niego zostało

już dowiedzione, że znalazł się w tłumie przez prosty przypadek. Zwiedził on przed południem wraz ze swoim 5-letnim synkiem i bratem wystawę bydła, potem odprowadzał brata za miasto i, wracając do domu, musiał przechodzić obok szkoły. Tu w tłumie zgubił dziecko i zanim je odnalazł, upłynęło kilka minut. Później oddalił się do domu. Przypuszczenie pana prokuratora, że to może on właśnie uderzał laską o budynek szkolny, nie może się utrzymać, ponieważ stwierdzeniem zostało przez świadków, że nie miał on kija przy sobie.

7) Józef Haenel. Ten ubogi krawiec odnosił robotę do kupca Gansa i wracając, musiał przechodzić obok szkoły. Tu napotkał małego Nowaczewskiego, który bardzo płakał, Haenel wziął go za rękę, pokazał wachmistrzowi Kozłowiczowi ślady silnych uderzeń i powiedział przytem: »Czy to wolno tak katować dziecko?« Poza tem, podług zeznań urzędników policyjnych, zachował się zupełnie spokojnie i nawet nie wzywano go, żeby poszedł do domu. Gdyby Haenel chciał hałasować, to byłby się z pewnością nie wdawał z policyantem w przyjacielskie rozprawy, raczej byłby ich unikał.

8) Nepomucena Piasecka. Ta według pana prokuratora popełniła największe przestępstwa. Ja zaś twierdzę z całą pewnością, że oprócz kilku wymysłów, nic więcej zarzucić jej nie można.

Dowiedzione zostało, że w szkole znajdowało się jej dziecko. Nauka miała się skończyć tego

dnia o godzinie 10-ej. Ponieważ dziecko jeszcze nie wróciło do domu o godzinie 12-ej, matka udała się do szkoły, ażeby się dowiedzieć, gdzie jest jej dziecko. W pobliżu domu szkolnego dowiedziała się od małej Janiszewskiej, że zatrzymano kilkoro dzieci i że właśnie odbywa się chłosta. Weszła wtenczas do szkoły, ażeby się dowiedzieć, czy jej dziecko tam jest. Do tego miała prawo. Każdemu wolno wstąpić do gmachu publicznego w interesie, związanym z czynnościami służbowymi. Tak orzeka sąd rzeszy. Tembardziej mogła Piasecka uważać się za uprawnioną do wejścia do szkoły, gdy Śmidowicz i Klimasowa uczynili to samo, nie natrafiwszy na żaden opór. Przez samo wejście nie mogła przecież stać się winną wdzierania się do gmachu, przeznaczonego do użytku publicznego; nie mogła również przeczuć, żeby to było zakazane. Że za nią wcisnęli się inni, tego wcale nie spostrzegła. I Winter przyznaje, że Piasecka weszła sama; jeżeli inspektor szkolny okręgowy nikogo więcej nie widział, to z pewnością to samo można przypuszczać i co do Piaseckiej. Art. 124 kodeksu karnego grozi tylko tym, którzy ze świadomością wspólnie z innymi gwałtem wdzierają się do gmachu publicznego, o tem zaś nie może tu być mowy. Że Piasecka nie miała zamiaru wszczynać żadnego hałasu, widać stąd, że, jak tego dowiodły zeznania świadków, Piasecka przed szkołą upominała zarówno dzieci, jak i dorosłych, ażeby zachowywali się spokojnie i żeby poszli do domu.

Jeżeli sąd dostrzeżę czyjejkolwiek obrazy w tych wyrażeniach, jakich Piasecka później użyła, to wnoszę, żeby ją jedynie tylko za to ukarać. W każdym zaś razie nie jest ona winną tych ciężkich przestępstw, o jakie ją pan prokurator oskarża.

Zaprzeczam stanowczo, by Piasecka obraziła inspektora szkolnego okręgowego Wintera. Słowa jej, wyrzeczone w sieni gmachu szkolnego, nie były z pewnością skierowane przeciwko Winterowi, on był dla niej dotychczas niewiadomą wielkością. Najwyżej mogła myśleć o Koralewskim, którego wszyscy uważali za sprawcę złego, i przeciwko któremu cała demonstracya była wymierzona, co zaświadczył również policyant Knappe.

Winter prosił wprowadzić sąd o to, by łagodnie postąpił z Piasecką, uczynił to jednak w taki sposób, który wszystkim musiał się wydawać bardzo nienaturalnym. Winterowi chodziło jakoby o to, by Piasecka mogła się przekonać, że Niemcy nie są tak bardzo złymi ludźmi. Że Niemcy wogóle nie są tak źli, o tem wiedziała Piasecka już dawno, zanim jeszcze miała sposobność poznania Wintera. Sama przecież powiedziała w sieni szkolnej, że zarówno ona, jak i wszystkie inne matki, nie mają przeciwko nauce języka niemieckiego i nie mogą tylko znieść nauki religii po niemiecku, której, jak lojalnie wyraziła się Piasecka, sam cesarz nie uznał.

Obecnie, przeciwnie, Piasecka zapewne przekonała się z pewnością, iż pomiędzy Niemcami

mogą się znajdować bardzo źli ludzie, wśród których specjalnie względem Piaseckiej mógłby Winter zająć bynajmniej nie ostatnie miejsce.

Upraszam tedy o uniewinnienie moich klientów, przedewszystkiem co do ich oskarżenia o ciężkie przestępstwo.

Gdyby jednakże wysoki sąd przyszedł do przekonania, że klienci moi są winni, sądziłbym, że ich wina powinna być bardzo łagodnie osądzona; przecież działali z nader szlachetnych pobudek.

To nie są zwyczajni przestępcy, których można by stawiać, jako przykład. Ludzie ci nikomu nie wyrządzili krzywdy; nawet nie zostało dowiedzione, aby ktokolwiek rzucał kamieniami lub kijami na gmach szkolny; Winter i Koralewski domyślają się tylko tego.

Oskarżeni chcieli tylko wyrazić swoją niechęć do nauki religii po niemiecku i swoje oburzenie na okrutną chłostę dzieci, czyż za to mają ponieść tak ciężką karę? Przecież przedtem próbowali wszelkich środków, przez prawo dozwolonych.

Podania rodziców o przywrócenie nauki religii w języku polskim, skargi przeciwko nauczycielom o przekroczenie dozwolonej granicy przy chłości dzieci, wszystko to pozostało bez skutku.

Czyż można się dziwić, że wobec faktu zbiorowej chłosty i na widok dzieci omdlewających z bólu i płaczących, pewna liczba blizkich kre-

wnych zebrała się przed domem szkolnym i wyraziła swoje oburzenie w nieco drastyczny sposób?

I sędziowie muszą mieć serce i uwzględniać przy sądzeniu psychologiczne momenty.

Mowa obrończa adwokata i posła do Rady państwa Dra Dziembowskiego z Poznania.

Pan prokurator położył nacisk zaraz na początku swoich dowodzeń, że królewsko-pruski rząd w walce polskości z niemieczyzną stanął bezwarunkowo po stronie tej ostatniej. Dziwię się, że takie zdanie mogło się wymknąć z ust przedstawicielowi rządu w gmachu, poświęconym strzeżeniu zasad sprawiedliwości, — rządu, który dotąd kładł nacisk na swoją bezwzględną obiektywność i ojcowskie usposobienie nawet względem ludności polskiej. Nie omieszkam powołać się na to publiczne wyznanie królewsko-pruskiego prokuratora.

Obecnie nie idzie o ewentualną stronność rządu, lecz jedynie o obowiązek święty stróżów sprawiedliwości wyświetlenia prawdy, a odrzucić trzeba troskę o politykę państwową, wznieść się ponad ducha stronniczości i prądy chwili, przestrzegając bacznie ścisłej bezstronności. Sędzia nie powinien baczyć na osobistości, lecz winien rozstrzygać w sposób rzeczowy i postępować, jak prawdziwy sługa Temidy, która w słusznym rozumieniu owego wymagania przedstawiana bywa z zawiązanymi oczami.

Wyrażam nadzieję, że wysoki sąd pozostanie wierny tradycyi sprawiedliwości pruskiej, której doniosłość przypomina nam tak żywo opowieść o młynarzu z Sans-souci. Spodziewam się, że wy, panowie, nie usłuchacie wniosków królewskiego prokuratora, dotyczących wymiaru kar. Taki wyrok mógłby zachwiać niezawodnie w tutejszej ludności zaufanie do ziemskiej i boskiej sprawiedliwości, które stanowi podwalinę państwa.

Inspektor okręgowy Winter mniemał, że przyczyna całej sprawy wrzesińskiej tkwi w podżeganiu prasy polskiej, która lud podburzyła. Muszę przyjąć, że p. Winter, jako świadek przysięgły, subiektywnie mówił prawdę; tem mniej mogę pojąć, jakim sposobem zdołał pod przysięgą tak ocenić działalność prasy polskiej, jeżeli sam zeznaje, że nie rozumie po polsku. Przypuszczam więc, że p. Winter wyrobił sobie sąd jedynie z nader obiektywnych opowiadań uczciwej, rządowej, lojalnej prasy niemieckiej. Jak podmiotową jest ta uczciwa prasa względem polskiej — złej prasy, mogę natychmiast uwidocznnić: podczas doskonałej mowy kolegi Wolińskiego niektórzy reporterzy ostentacyjnie opuścili salę; a i teraz są ich ławy puste. Ich sposób postępowania jest dla mnie zupełnie jasny. Mowa prokuratora jest już gotowa do druku, a ogłoszenie polskiej obrony musiałoby rzucić więcej światła na całe zajście, niż jakby wymagał tego interes wolnomyślniej prasy rządowej. Sprawozdanie z naszych mów nie leżało w in-

teresie płynącej z prawdziwego przekonania przedmiotowości.

Kto chce dobrze zrozumieć obecną sprawę, musi zajrzeć za kulisy, a wtenczas dopiero pozna całą działalność, ukrytą w tym procesie i oceni doniosłość całego jej kunsztu.

Kolega Türk już dowiódł, że policya wrześcińska stwierdziła w zajściach z dnia 20-go maja wykroczenie przeciwko porządkowi publicznemu w myśl §§ 360 ad 11 i stosownie do tego w swych rozporządzeniach wyznaczyła nieznaczące kary. Nagle karta się odwraca, »Posener Tageblatt« zamieszcza przesadne i przedmiotowo nieprawdziwe wiadomości o zajściach wrześcińskich i utrzymuje, że to jest zakłócenie spokoju publicznego. Wskutek tego prokurator widzi się zmuszonym do wdrożenia śledztwa i zażądania raportów od landrata i inspektora szkół. Tak się fabrykuje procesy polityczne!

W tym sławnym artykule wylewa »Posener Tagblatt« łzy krokodyla nad biednym ludem wiejskim, »który ciężko musi pokutować za podszczywanie niesumiennych agitatorów. Nie ulega żadnej wątpliwości, że polscy deputowani na odbytym wiecu w dniu 16 maja we Wrześni zachęcali lud do oporu. Tacy deputowani powinni zasiąść na ławie oskarżonych«.

To złośliwe podejrzenie w jaskrawy sposób podsunięto przy śledztwie sądowym.

Deputowany Głębocki zeznał pod przysięgą, że on i my wszyscy, którzyśmy przemawiali we

Wrześni, ostrzegaliśmy najwyraźniej przed wszelkimi bezprawnymi krokami i zwróciliśmy uwagę, że każde przekroczenie tylko sprowadzi wodę na młyn hakatystów, że potem wyzyskane ono będzie w tym celu, by Polakom uszczuplić wolność zgromadzeń.

Szkoda, że nie wszyscy oskarżeni uczestniczyli w tem zgromadzeniu, zaniechanoby wówczas nawet owych bardzo drobnych niewłaściwości.

Kto czytał od początku maja wylewy żółci antypolskiej prasy, ten zrozumie, do czego »Posener Tagblatt« zdążała i do czego dziś jeszcze dąży.

Już wtenczas chciano naszą wolność zgromadzeń ograniczyć, potrzeba było tylko nagromadzić więcej materyału, ażeby w interesie uciemnionej niemczyzny wydać prawo wyjątkowe. Wtem zdarzyły się, jak na zawołanie, zajścia wrześnińskie i wiec ludowy w Gostyniu. Ale biedni hakatyści mają pech! Sąd w Lissie uniewinnił mówców gostyńskich, a obecne śledztwo w zupełności dowiodło, że absolutnie niepodobna ustalić związku przyczynowego pomiędzy wiecem ludowym z dnia 16 maja a zajściami z dnia 20 maja. Jako jeden z deputowanych, którzy w tem zgromadzeniu przemawiali i na których »Posener Tagblatt« tak radaby zepchnąć wszelką odpowiedzialność, stwierdzam z dumą, że wygłaszane tam mowy mogły tylko uspokajająco wpływać na umysły rozgoryczone z powodu zaprowadzenia nauki religii w języku niemieckim.

Mój kolega Woliński dowiódł już bezprawia każdego rozporządzenia, dotyczącego nauki religii, które wkracza bezpośrednio w dziedzinę władzy kościelnej i religijnej.

Dodam jeszcze, że ludność przed wiecem z dnia 16 maja czuła się ciężko dotknięta. Piekarz Śmidowicz dawno przedtem był u landrata i inspektora szkół i dowodził im, że wprowadzenie w życie odnośnych rozporządzeń jest niemożliwe.

Przechodzę do omówienia samych zajęć. Dnia 20 maja panowała we Wrześni wspaniała pogoda, wszędzie widać było wiosnę, tylko w szkole wyglądało po zimowemu, tam przez zabielone szyby okienne ani światło, ani ciepło słoneczne nie przenika, tam to zaczęła się masowa ohłosta dzieci!!!

Opis zajęć przez żandarmów jest z gruntu odmienny od opisu nauczycieli i inspektora okręgowego szkół. Komu mamy więcej wierzyć? Według mnie, policya w tym wypadku zasługuje na zupełne zaufanie, nie brała sama udziału, wypełniła swój obowiązek i jest wolna od zarzutu.

Stwierdzam z przyjemnością, że wystąpienie władzy policyjnej było taktowne i jej mamy do zawdzięczenia, że nie przyszło do zakłócenia porządku, do prawdziwego powstania.

Naprzód muszę zwrócić szczególną uwagę na wyrozumiałe postępowanie barona Mossenbacha, który na szczęście nie usłuchał podszeptów Wintera i nie kazał oczyszczać ulic, bo wiedział, że tem

niczego nie dokaże, a tylko powiększy rozgoryczenie wśród ludu.

Zachowali się również taktownie Eichler i Kozłowicz, ten ostatni szczęśliwie nie dobył broni i tym sposobem nie przyłożył lontu do beczki z prochem.

Urzednicy policyjni, którzy oceniają położenie rzeczy z takim spokojem, bardziej zasługują na wiarę, aniżeli nauczyciele i inspektor szkół. Nie jest moim zwyczajem obwiniać świadków o krzywoprzysięstwo i bezpodstawnie przedstawiać ich, jako stronnych. Nie wątpię, że Winter mówił prawdę co do samych faktów, lecz nie mogę mu wierzyć, gdy fakty te ubarwia, malując swe uczucia, gdy fakty te ocenia i wystawia je w specjalnem oświetleniu. Nie mogę za nim iść w tym kierunku, chociażby tylko dlatego, iż na moje pytanie przyznać musiał, że na potwierdzenie swego subiektywnego poglądu nie ma ani jednego dowodu faktycznego.

Opiera się jedynie na błędnych przypuszczeniach. Gdy badam psychologicznie zeznania Wintera, muszę je uznać za tendencyjne, już tylko ze względu na jego stanowisko. Samo wystąpienie jego przed sądem w roli współoskarżającego czyni na mnie wrażenie, jak gdyby obok pierwszego prokuratora zasiadał w osobie Wintera przed sądem drugi prokurator. Winter odgrywał swoją rolę drugiego prokuratora z takim zapalem podczas roztrząsania sprawy, że świadek

musiał się wobec tego zupełnie cofnąć na dalszy plan.

Pan Winter musiał być zapytywany, czy można zaprowadzić naukę religii po niemiecku. Przypuszczam, że opinia jego wypadła w myśl wydanego rozporządzenia, w każdym razie musiał zapewnić rząd w Poznaniu, że dzieci znają dostatecznie język niemiecki. Przekonaliśmy się, że tak nie jest, ponieważ dzieci nie są w stanie porozumiewać się przed sądem po niemiecku, a pan przewodniczący sam musiał ustawicznie używać tłumacza. Winter chciał pozostać konsekwentnym i energicznie bronił wprowadzenia w życie rozporządzeń rządowych, których sprawcą nie był nikt inny, jak on sam. Wytworzył sytuację bez wyjścia, z powodu której przychodzą na myśl słowa poety: »Jest to przekleństwem złego czynu, że odradzając się, musi złe rodić«.

Panie Winter! z dumą powołujesz się pan na swoje stanowisko pruskiego urzędnika, wciąż pan to podnosisz. Szanuję bardzo stare pokolenie pruskich urzędników, nowe jest mi mniej sympatyczne, zanadto przykre dla tych, którzy niżej od nich stoją, zbyt czołobitne przed tymi, co stoją nad nimi.

Pańska nadmierna gorliwość spowodowała popełnienie przez pana tego samego przestępstwa, które zarzucane jest niektórym oskarżonym w tym procesie. Zachęcał pan do spełnienia zakazanych czynów, przewidzianych w art. 111 kodeksu karnego.

Mianowicie, śledztwo sądowe wykazało, że Winter wezwał wachmistrza Kozłowicza, by ten dobył broni. Gdyby Kozłowicz go usłuchał, to byłby ciężko zawinił. Jemu nie wolno było dobywać broni, bo nie był ani napadany, ani nie znajdował się w niebezpieczeństwie życia. Zatem Winter wzywał publicznie do popełnienia karygodnego czynu — do zadania ran.

Przyjmuję za pewne, że prokurator, jak tylko odpocznie po trudach obecnego procesu, niezwłocznie wystąpi przeciwko Winterowi, powołując się na artykuł 111 kod. karn.

Pan Winter jest przede wszystkim naturą dwoistą, w jego sercu łączą się zupełnie sprzeczne uczucia. Z jednej strony oznajmia: »kocham dzieci«, jednocześnie każe je tak energicznie chłostać!!! Mówi o miłości, ale zaraz potem twierdzi, że dzieci są złe, że rejestr kar w szkole wrzesińskiej jest niezmiernie długi, wystawia dzieciom świadectwo jak najgorsze. Miłość Wintera dla dzieci objawia się co najmniej oryginalnie; Boże uchronaj przed taką »miłością«!

Może władza nie będzie oskarżała Wintera, może jego postępowanie uznane zostanie za usprawiedliwione, może będzie pozostawiony w spokoju tak przez prokuratora, jak przez władzę dyscyplinarną. Jednakże, panie Winter, ja wnoszę przeciwko panu skargę przed inny trybunał, przed trybunał cywilizacyi, tam będziesz pan z pewnością skazany i potępiony!

Mam teraz mówić o zbiorowisku przed szkołą.

Dzieci, które z niej wychodziły, miały tak popuchnięte rączki, że nie mogły ich ścisnąć i z bólu płakały. Podług zdania doktorów, dzieci nie były zdolne następnych dni iść do szkoły. Panowie Winter i Koralewski utrzymują wprawdzie, że nie przestąpili granic prawa chłosty. Szczególne pojęcie o granicach dozwolonych! Inaczej o tem myśli publiczność, której rozgoryczenie jest bardzo zrozumiałe i wzmaga się w miarę tego, jak coraz więcej dzieci płaczących opuszcza szkołę. To uznacie panowie, za rzecz do pojęcia! to jest ludzkie, a idzie tu przecież o dzieci!

Żyjemy w czasie humanitarnych dążeń i w prawie cywilnem, odmówiliśmy chlebobdawcy prawa bicia swoich podwładnych i dochodzimy coraz więcej do przekonania, że kara chłosty nie da się wogóle pogodzić z postępem cywilizacyi.

Stąd owo wzburzenie tłumu, które jednak wyraziło się tylko w kilku ostrych uwagach skierowanych przeciwko nauczycielowi, i nie doszło do żadnego gwałtu. Nawet wachmistrz Eichler zaprzecza, jakoby zachodziła obawa faktycznego zakłócenia spokoju. Jest moim obowiązkiem powiedzieć wysokiemu sądowi, że jak tylko zeznania tych świadków były wiadome, ustaliło się przekonanie, tak tu, jak i w szerszych kołach prawniczych, że prokuratorya zaniecha oskarżenia o bunt i powstanie. Odmienna postawa tejże jest dla nas bolesną niespodzianką!!!

Prokurator kładzie nacisk na to, że piekarz Śmidowicz powiedział: »Dajcie pokój z biciem, bo

może przyjść do zaburzeń. Przecież landrat nazywa Śmidowicza pyszałkiem, na którego gadanie nie trzeba zwracać uwagi, tembardziej, że najczęściej bywa podochocony. Jak można raptem przywiązywać tyle wagi do jego zdania?

Winter mówi, że położenie było poważne i że bał się o swoje życie. To zdanie zostało pozbawione wagi przez stwierdzenie faktu, że tłum na nikogo nie napadł czynnie. Jakim sposobem Winter przychodzi do tego przekonania? Gdyby publiczność miała ochotę zbić inspektora szkół, to miałyby do tego najlepszą sposobność, gdy Winter bez broni przeciskał się przez tłum, w tym razie nie wyszłoby nawet na jaw, kto to uczynił. Nic podobnego się nie stało!

Nie pojmuję, na jakiej zasadzie Winter w pół godziny później mógł uważać położenie za *poważne* w chwili, kiedy właśnie siedział w szkole w towarzystwie dwóch barczystych nauczycieli i nadto w towarzystwie uzbrojonego policyanta. Siedział bezpieczny, jak w zamku obrońnym! Kilku ludzi wprawdzie wsunęło się z Piasecką do sieni szkolnej, ale żaden nie napadł na Wintera i wszyscy na jego rozkaz oddalili się spokojnie i chętnie! Nagły strach Wintera jest dla mnie zupełnie niezrozumiały! Na ulicy zabrzmiały okrzyki oburzenia, ale jest to zwyczajna manifestacya, nie zaś powstanie.

Niemieccy studenci starają się także nielubianym profesorom robić kocią muzykę, a żeby dać wyraz swojej niechęci, a nie mówi się przecież tu-

taj o nacisku na urzędnika, któremu chcą przeszkodzić w wypełnianiu czynności urzędowej.

Do tego zgromadzony tłum wcale nie dążył, krytykował jedynie w tłumnym zgromadzeniu zbiorową chłostę.

Lud nie próbował tamować koła silnej pruskiej maszyny państwowej i wcale nie myślał o tem, żeby przeszkodzić siłą lub pogrózkami w wykonywaniu czynności urzędowych.

Jak tylko to dowiedzione zostało, upada samo przez się pojęcie buntu.

O zakłóceniu spokoju publicznego w myśl § 125 kod. kar. może być tylko wtenczas mowa, jeżeli w zbiegowisku popełniono gwałt na osobach lub rzeczach.

Nawet prokurator uznaje, że nie popełniono gwałtu na osobach, chce tylko udowodnić spełnienie gwałtu na rzeczach; ten ma polegać na pukaniu do drzwi szkolnych i otwieraniu tychże.

Otwieram codziennie drzwi sądu i nie wiedziałem dotychczas, że popełniam tym sposobem gwałt na rzeczach.

Pukanie do drzwi także nie jest gwałtem, przeciwnie, jest dowodem subtelного pocucia tak tu u tłumu, który w ten sposób konwecjonalny chciał dać znać, że pragnie porozumieć się z nauczycielami.

Kolega Türk zresztą słusznie zaznaczył, że akt dramatu trzeba uważać za zakończony od chwili, kiedy wskutek deszczu ulewnego tłum się

rozszedł i nauczyciele z inspektorem opuścili szkołę, więc około 1½ godziny.

Od tej chwili publiczność nie tworzy już »zbiegowiska wskutek zмовы«, tworzą się w mieście tylko małe gromadki ludzi, którzy omawiają szczegóły zajścia.

Brak tu więc wszystkich przesłanek karygodnego czynu w myśl §§ 114 i 155 kod. kar.

Jeżeli prokurator utrzymuje, że już wogóle tego dnia umysły się nie uspokoiły, to w części ma słuszność. Lecz w tem niema jeszcze nic karygodnego, że ludzie na ulicy rozmawiają z wyrazem wzruszenia na twarzy.

Prokurator opiera się tutaj na twierdzeniu landrata, który niby zauważył, że tłum tego dnia spotykał go z mniejszym szacunkiem, niż zwykle. Czy można się temu dziwić?

Pan landrat znajdował się przecież w towarzystwie Wintera i wyraz braku sympatii odnosił się tylko do tego ostatniego.

Zatem można powiedzieć, że zakłócenie spokoju trwało najwyżej do 1½ godziny.

Teraz przechodzę do kwestyi winy poszczególnych oskarżonych.

Małżonkowie Żołnierkiewicz znajdowali się wprawdzie w pobliżu szkoły, lecz do niej nie wchodzili. Czy to co dziwnego, że się zbliżyli, posłyszawszy, że ich dzieci bito w szkole i czy to ich wina, że przed szkołą dostali się w tłum?

Ci biedni rodzice wiedzieli, że ich dziecko kilkakrotnie było bite i wskutek tego, według

opinii lekarza, jękało się. Czy nie było ich obowiązkiem sprawdzić, co się dzieje z dziećmi? Zresztą zachowywali się spokojnie, a teraz mają być za to na 9 miesięcy uwiecznieni, że posłuszni obowiązkowi rodzicielskiemu poszli szukać dziecka i osłonić je!

Dzieciuchowicz jedynie przypuszczalnie groził nauczycielowi, któryby bił jego dziecko, straszną zemstą. To jednak nie dotyczyło wprost żadnego nauczyciela z Wrześni, ponieważ oskarżony tam nie mieszka i dziecka do szkoły nie posyła. Przybył on dopiero o godz. 4-ej do miasta z targu końskiego i nie można mu dowieść, że wiedział o jakimś zbiegowisku, które miało miejsce około południa.

To samo można powiedzieć o Stachowskim i Jarmuszkiewiczu.

Że się kobiety Jezierska i Jagodzińska nie bardzo pochlebnie odzywały następnego dnia o nauczycielach, to leży w samej istocie rzeczy.

Zbliżam się do zakończenia mojej obrony i pozwalam sobie zwrócić uwagę wysokiego trybunału na okoliczność, że w dzisiejszych czasach interpretacja prawa coraz staje się zawilsza i coraz więcej się oddala od istotnego znaczenia pojedynczych wyrazów i pojęć prawnych, tak jak rozumie je i czuje lud.

To zjawisko skonstatowali już ludzie światli w sferach prawodawczych i potępiali gorąco coraz niebezpieczniejszą wykrętną wykładnię prawa.

Subtelne prawo jurystów stoi często w biegunowej sprzeczności z prawem ludu.

Życzę wysokiemu trybunałowi, ażeby się nie dał przez prawne dedukcye sprowadzić na manowce.

Na wyrok powinna wpływać nie martwa literatura prawa, lecz zastosowanie prawa z uwzględnieniem momentu psychologicznego u pojedynczych oskarżonych.

Patrzcie, panowie, więcej w czyste serca oskarżonych, niż na paragrafy i wyroki najwyższego sądu rzeszy (Reichsgerichtsurtheile).

Gdybyście, panowie sędziowie, mieli karać oskarżonych podług tych ostatnich, to zastanówcie się, że oskarżeni nie pojną ich kunsztownej i sztucznej konstrukcyei, a w razie zatwierdzenia projektowanych wysokich kar odeszliby z wrażeniem żalu, że naprawdę nie zbili nauczycieli, bo wtenczas przynajmniej wiedzieliby, za co mają pokutować!

Repliki.

Prokurator Langer broni Wintera i stara się dowieść, że wprowadzie jego polecenie dobycia broni, dane Kozłowiczowi, nie było uprawnione, jednak nie widzi zasady do występowania z tego powodu przeciwko Winterowi. Dziwi się, dlaczego dr. Dziembowski podnosił to, iż on, prokurator, oddał sprawiedliwość władzy państwowej, iż ta

w walce polonizmu z germanizmem staje po stronie tego ostatniego.

Twierdzenie to stanowi przecież jądro agitacji polskiej.

Następnie polemizuje prokurator z innymi obrońcami i stara się dowieść, że zasada Kościoła, broniona przez adwokata Wolińskiego, ażeby nauki religii udzielać w języku ludowym »lingua vulgaris« — stosuje się do języka będącego w użyciu, nie zaś języka ludu. Zresztą zapatrywania poszczególnych niemieckich biskupów nie są zgodne z zapatrywaniem arcybiskupa Stablewskiego; np. odniennienie się zapatrują ksiązę biskup Kopp i arcybiskup Simar z Kolonii.

Adwokat Dziembowski przyznaje, że i Polacy wykazywali stronność władzy państwowej; jednakże widzi w słowach prokuratora potwierdzenie tego zdania i to uważa za charakterystyczne.

Adwokat Türk zaprzecza prawu inspektora okręgowego szkół do zarządzania kar w szkole.

Adwokat Woliński utrzymuje, że prokurator zdaje się nie rozumieć wyrazu »vulgaris«. »Vulgaris« pochodzi od »vulgus«, lud, a zatem »lingua vulgaris« znaczy język ludu, t. j. w naszej prowincyi u polskiej ludności, polski język. Kładzie nacisk powtórnie na to, że i inni biskupi są zupełnie tego samego zdania, co i arcybiskup Stablewski, mianowicie, że nauka religii w szkołach ludowych, powinna być udzielana w języku ojczystym, jeżeli ma być skuteczną. I ksiązę bi-

skup Kopp z Wrocławia wstawiał się u rządu za uwzględnieniem prośby duchowieństwa śląskiego o przywrócenie nauki religii dla dzieci polskich po polsku.

O godz. 4^{3/4} sąd udał się na naradę.

Wyrok i jego uzasadnienie.

Po przeszło 5-godzinnej naradzie ogłosił przewodniczący wśród ogólnie natężonej uwagi i głębokiej ciszy następujący wyrok, który, ze względu na jego doniosłość, podajemy w dosłownem brzmieniu:

»Zostało stwierdzone, że 20-go maja r. b. popełniono we Wrześni ciężkie przestępstwa buntu i zakłócenia spokoju krajowego, oprócz innych ciężkich przewinień przeciwko prawu karnemu, które zostały w dalszym ciągu d. 21 maja popełnione. Mianowicie, pierwszego dnia zgromadził się tłum, który popełnił wspólnymi siłami czyny gwałtu, postanowiwszy zmusić pogrózkami inspektora szkół i nauczycieli szkoły katolickiej wrześnińskiej do zaniechania czynności urzędowych; przez też czyny dopuszczono się gwałtu przeciwko szkole katolickiej. Kto się dopuścił tych czynów gwałtu, tego śledztwo nie wykryło. Zatem nikt nie jest uważany za przywódcę. Gdyby za takich uważano niektórych z oskarżonych, to trzebaby było wyznaczyć surowe kary zamknięcia w domu poprawy. Co do oskarżonych może być jedynie

mowa o udziale w wymienionych przestępstwach. Chociaż ktoś przybył zupełnie przypadkowo na plac, gdzie się tłum ludzi zebrał w określonym celu, to jednak brał udział w zbiegowisku, bo przyłączał się do zgromadzenia ze świadomością celu tegoż. Gdy tłum ludzi znajdował się na placu przed domem szkolnym, na schodach i w części wewnątrz szkoły i na sąsiednich ulicach, chłostano 14 dzieci najwyżej 8-iu uderzeniami. Chłosta była wyznaczona jako środek do utrzymania karności szkolnej, o czym przedtem zawiadomiono dzieci a te dalej rozgłosiły, że w oznaczonym dniu odbędzie się owa chłosta, jeżeli dzieci nie poddadzą się rozporządzeniom w rzeczach nauki religii. Cel zgromadzonego tłumu polegał na tem, aby przez to zgromadzenie przeszkodzić obecnej i przyszłej chłście dzieci, ponieważ tę uważał za przeciwną prawu, niesprawiedliwą lub zbytęcną. Fakt, że niektórym oskarżonym chodziło o własne dzieci, nie może ich uchronić przed karą. Mniemanie, że dzieci bito nadmiernie, nie broni ich, tem mniej, że to mniemanie nie zostało stwierdzone co do większej części oskarżonych. Wychodziły wprawdzie dzieci z pręgami na rękach, ale obojętnie, trzeba było przyznać, że nie było obrażeń ciała, nawet przekroczenia prawa chłosty, lecz jedynie prawem dozwolona chłosta. Postawa tłumu była pomimo tego w wysokim stopniu groźna i niebezpieczna.

»Nietylko inspektor szkół Winter świadczy, że groziło niebezpieczeństwo, lecz i landrat Mos-

senbach powiedział, że całą sytuację uważał za bardzo groźną. Przechodząc przez rozmaite ulice, dostrzegł i odczuł groźny nastrój tłumu. Spełnione czyny trzeba uważać, jako wynik wspólnego działania, odbytego przed gmachem szkolnym i w pobliżu tegoż od godziny 12-ej do 4-ej w d. 20 maja. Wszyscy ci, którzy się w tym czasie tam zgromadzili, jak i ci oskarżeni, którzy się do zbiegowiska w jakikolwiek sposób przyłączyli, powinni być ukarani. Mamy tylko do zawdzięczenia męskiemu wystąpieniu inspektora Wintera i nauczycieli, że nie było cięższych wykroczeń, gdy oskarżona Piasecka i z nią wiele innych ludzi wtargnęło do gmachu szkolnego. Już przedtem bito w gmach szkolny i rzucono kamieniami. Fanatyczny tłum był tak wzburzony, że teraz, a nawet później najbliższy powód wystarczyłby, ażeby doprowadzić do krwawych zająć.

»Wzburzenie tłumu było wywołane przez zaprowadzenie niemieckiego wykładu religii w szkole wrzesińskiej. Widzieliśmy, jakie głębokie wzburzenie wywołał ten fakt np. u żony posługacza szkolnego, świadka Gadzińskiej. Ta matka może służyć za typ wielu innych również matek we Wrześni. Okazało się z jej słów, jak chętnieby ze swoim dzieckiem po polsku modliła się i mówiła, okazało się jednak zarazem, jak nie do uwierzenia jest ona ograniczona w rzeczach religii. Do wzniecenia wzburzenia więc było już nieco materiału zapalnego, ale wzburzenie to, jako objaw nastroju całego ludu nie ujawniłoby

się w ten sposób, jak się to niestety stało, gdyby nie było jeszcze innych wpływów, które niezaprzeczenie miały tu w wysokim stopniu znaczenie.

»Trzeba przyznać, że znaczna część winy spada na wikarego Laskowskiego. Mówił on z uczącymi się dziećmi, radził im wreszcie, ażeby prosiły nauczyciela Koralewskiego, aby zaniechał udzielania nauki religii po niemiecku. Był dalej przez dzieci nagabywany o radę; zeznał, że najpierw sam zastanawiał się nad tem i rozważał długo nad odpowiedzią, przyczem brał pod uwagę swe stanowisko i przekonania. Nareszcie przyszedł do wniosku, aby nie dawać dzieciom rady, a tylko poprzestać na wyjaśnieniu, że radzić im nie może, bo go fałszywie rozumieją i narażają na fałszywe oskarżenia. Jest to kwestya, czy rada zupełnie tak brzmiała w tej formie, bądź co bądź, zeznał ksiądz Laskowski pod przysięgą, a o jego zeznaniu pod przysięgą wątpić nie można. Że jednak z powodu swego zachowania, które sobie z góry obmyślił, jak się ostrożnie wyraził, przez dzieci był źle rozumiany, to nie może ulegać wątpliwości. Dzieci przybyły do niego i, szukając w tym ciężkim konflikcie, w jakim się znajdowały, pomocy u swego duszpasterza, zapytywały siebie: mamyż słuchać rodziców, którzy nie chcą nic wiedzieć o nauce religii po niemiecku, czyli być nieposłusznymi naszym nauczycielom, czy też mamy słuchać nauczycieli, którzy żądają od nas posłuszeństwa?

»Ksiądz wikary nie pamiętał słów Pisma Świętego: »Bądźcie posłuszni przełożonym, którzy mają nad wami władzę«, lecz powiedział do dzieci: »Nie daję wam w tym wypadku żadnej rady!« Tym sposobem do pewnego stopnia uświęcił opór, jaki dzieci okazały nauczycielom, lub okazać miały, umocnił dzieci w oporze przeciw prawom i władzy szkolnej. Wzmocnił zarazem przez to opór dzieci, który zaaprobował opór rodziców przeciw wprowadzeniu i dalszemu wykładowi religii po niemiecku.

»Jawnego buntu, jaki się okazał potem 20-go maja, wikary Laskowski nie życzył sobie; buntu owego nie życzył sobie również wiec polski, który się odbył we Wrześni 16 maja.

»Do tego przyłączyły się jeszcze polityczne namiętności, poruszone przez piekarza Śmidowicza, który chodził i przez swoje niejasne opowieści podburzał, i jak wilk w owczej skórze, chcąc niby coś dobrego zrobić, chodził również do nauczycieli i jedynie złe zasiewał. Jego mądrości dała posłuch również oskarżona Piasecka, a ta należy także do tych, którzy swoją mądrość wszędy głoszą. Ta mądrość nie jest bardzo głęboka, wychodziła ona z założenia, że Chrystus i Matka Boska mówili po polsku i z tego punktu widzenia krytykuje rozporządzenia rządowe«.

Wysokość kar.

»Przedewszystkiem, co do głównej oskarżonej Piaseckiej, zaprzeczała ona gorąco temu, jakoby miała brać udział w zbiegowisku.

»Była ona jednak pierwszą osobą, która wtargnęła do gmachu szkolnego i tam z podniesionymi rękami przystąpiła do inspektora Wintera; lżyła ona również innych nauczycieli. Poza tem zaś reszta oskarżonych również wzięła większy lub mniejszy udział w całym zajściu. Przy wymiarze kar brano pod uwagę tę okoliczność, że oskarżeni pod wpływem podniecenia religijnego dali się nakłonić do czynów bezprawia, dalej zaś, że nie doszło do czynnych napaści na organy lub mienie rządu. Tę okoliczność uznano za łagodzącą, kary niskiego stopnia jednak wyznaczone być w danym razie nie mogły. Ze względu na wielkie niebezpieczeństwo podobnych wykroczeń dla społeczeństwa, ustawa grozi ciężkimi karami za bunt i zakłócenie spokoju publicznego, i już była o tem wyżej mowa, że w sprawach o podobne zaburzenia grożą ciężkie kary zamknięcia w domu poprawy. Uczestnicy zaś podlegają karze więzienia od lat 5 do 6 miesięcy«.

Z tego punktu widzenia w imieniu króla zapadł następujący wyrok:

»Oskarżona Piasecka skazana jest na 2½ roku więzienia, oskarżony Korzeniewski na 1 rok domu poprawy. Następnie otrzymali, również za zakłócenie spokoju ogólnego i bunt, oskarżeni

Dzieciuchowicz i Chojnacki po 2 lata więzienia, oskarżony Balcerkiewicz 1 rok i 3 miesiące więzienia, oskarżeni: Furmaniak, Bednarowiczowa, Zientek i Hähnel po 1 roku więzienia, Pawlicka, Zołuczkiwiczowa, jej mąż, a także oskarżeni: Sierakowski i Musielak po 9 miesięcy, oskarżeni: Stachowski i Stachowiakowa po 6 miesięcy więzienia».

»Następnie zostali skazani za ciężką nieobyczajność, (gruber Unfug), obelgi i t. d.: syn oskarżonego Korzeniewskiego na 4 miesiące więzienia i 2 tygodnie aresztu, Jagodzińska na 2 miesiące więzienia, Wiśniewski, Jezierska po 4 tygodnie aresztu. Oskarżeni: Szypulski, Maciejewski, Jar-muszkiewicz i Rydliński zostali uniewinnieni».

Gdy przewodniczący przeczytał pierwsze kary, zapanowało silne poruszenie w przepełnionej sali, gdzie znajdowali się przeważnie krewni oskarżonych. Tu na pewno przypuszczano, że sąd nie uzna oskarżenia o zakłócenie spokoju i bunt. Dały się słyszeć liczne wołania: To straszne! Ohydne! i rozległ się płacz wielu osób. Oskarżeni Balcerkiewicz i Dzieciuchowicz zostali wskutek podejrzenia o chęć ucieczki zamknięci w areszcie śledczym i wyprowadzeni w kajdanach.



SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa	1
I. Akt oskarżenia oraz śledztwo sądowe.	
Akt oskarżenia	5
Zeznania oskarżonych	17
Wniosek obrońcy	20
Przesłuchanie okręgowego inspektora szkolnego Wintera	30
List Arcybiskupa Stablewskiego do prezesa sądu ziemiańskiego Kaha	42
Przesłuchanie nauczyciela Koralewskiego	44
Przesłuchanie biegłych: lekarza wolno-praktykującego Dra Krzyżagórskiego i lekarza okręgowego Dra Michaelsohna z Wrześni	50
Wyjazd radcy prawnego Wagnera do Berlina	57
Świadek, poseł do Rady państwa i deputowany, Józef Głębocki	57
Zeznania żandarmów	59
Przesłuchanie innych nauczycieli wrzezińskich	63
Pytanie adwokata Wolińskiego zadane nauczycielowi Schölzchenowi	67
Pytania zadane nauczycielowi Pohlowi	68
Badanie żony posługacza szkolnego z Wrześni, Gadzińskiej	70
Wniosek adwokata Wolińskiego, dotyczący kwestyi nauczania religii w szkołach ludowych podług zasad Kościoła katolickiego	73

	Str.
Badanie proboszcza Łabędzkiego z Wrześni	76
Badanie wikarego Laskowskiego	78
Badanie landrata barona von Mossenbacha z Wrześni	83
Przygnębiająca scena	86

II. Mowy prokuratora i obrońców, oraz wyrok.

Mowa prokuratora	91
Mowa współoskarżyciela Wintera	96
Obrona adwokatów. Mowa adwokata Türka z Gniezna	97
Mowa adwokata Wolińskiego	125
Mowa obrończa adwokata i posła do Rady państwa Dra Dziembowskiego z Poznania	161
Repliki	174
Wyrok i jego uzasadnienie	176
Wysokość kar	181

160

5

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000171443



I 458939